

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	6.—
Półrocznie	3.—
Kwartalnie	1 50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

ZASTRZEŻENIA.

„Przegląd Wileński“ w pewnej mierze jest terenem do porozumienia się elementów demokratycznych. To też w „Przeglądzie“ nie może obowiązywać dyscyplina taka, jaka obowiązuje w organach partyjnych, i wolno przeto współpracownikom pisma, różnić się między sobą nieco w ocenie zjawisk i prądów społecznych. Ogniwem, które nas łączyć powinno, jest nasze zasadnicze kryterjum demokratyczne, atoli wyniki stosowania kryterjum tego w analizie społecznej mogą być w zależności od osób stosujących nieco różne.

Pożądana jest oczywiście jednolitość stanowiska w piśmie, atoli w wypadkach poszczególnych mogą zachodzić dywersje, które oby nas prędzej do wspólnego mianownika demokratycznego doprowadziły

Wolno mi więc nieco inaczej zapatrywać się na jednodniówkę „Pracę“ i na wyrazy nieufności i żalu, skierowane w niej do t. zw. „postępowców“, niż zareagował p. Ludwik Abramowicz w № 13 „Przeglądu“. A czynię to z tem większem przeświadczeniem, że uważam jednodniówkę tę za poważny i szczerzy wyraz myśli demokratycznej w stosunkach naszych i że przeto liczyć się z nią należy nam, skoro my też pod sztandarem demokratycznym stajemy. Jednodniówka „Praca“ w artykule „Do naszych postępowców“ porusza niewątpliwie sprawę zasadniczą, mianowicie stosunek ruchu proletariackiego do tych prądów i kierunków społecznych, które, nie stojąc na gruncie ściśle robotniczym, dążą do przekształcenia tradycyjnych form układu stosunków pod hasłem postępu i reformy. Prądy te i kierunki nazwane są w jednodniówce ryczałtowo postępowcami, aczkolwiek określenie to wydaje się oczywiście autorom jednodniówki nieścisłym, bo się pisze w cudzysłowie.

Autor artykułu „Do naszych postępowców“ wy-

kazuje na przykładzie ruchów społecznych w Europie Zachodniej w wieku XIX, że proletarijat popierał zawsze gorąco i szczerze akcję burżuazji liberalnej, dążącą do rozbicia przestarzałych form feudalizmu czy absolutyzmu bądź w Wielkiej Rewolucji Francuskiej, bądź w ruchu Chartystów w Anglii, bądź w rewolucji mieszczańskiej roku 1848, zwanego „wiosną ludów“; i oto zawsze i wszędzie zwycięska burżuazja liberalna, po obaleniu krępujących jej rozwój przytyków i po objęciu steru rządu w posiadanie własne, nietylko że nie wypłacała daniny wdzięczności swemu spółtowarzyszowi walk poprzednich, — proletariatowi, lecz używała cynicznie zdobytej z udziałem jego władzy przeciwko niemu, robiąc z niej narzędzia uciemnienia i wyzysku klasy robotniczej.

Taką jest teza artykułu i wnioski z niej ten, że klasa robotnicza ufać mieszczaństwu, nawet w najpiękniejszych hasłach jego, nie powinna i nie może. Burżuazja, nawet w swych najdalej idących szrankach reformy radykalnej („postępowcy“) jest zasadniczo dla proletariatu obca; jeżeli się do proletariatu hasłami jego odzywa, to li tylko po to, aby go do walk na użytek jej interesów własnych, nie zaś interesu jego, zwabić!

Jak teza powyższa, tak i wnioski — niewątpliwie słuszne. Niewiara proletariatu do burżuazji jest historycznie i teoretycznie — uzasadniona. Inaczej zresztą być nie może. Trudno przypuścić, aby jakaś klasa społeczna uniosła się miłością rycerską dla innej i po zdobyciu władzy zechciała z niej użytkować inaczej, niż w myśl potrzeb i aspiracji własnych. Jeżeli ideologowie proletariatu sądzili ongi inaczej, to słusznie im się należy miano utopistów. Nie wyklucza to wprawdzie w pewnych chwilach dziejowych spółdziałania klas, jakim było spółdziałanie proletariatu ze stanem trzecim, gdy zwycięstwo stanu trzeciego torowało bądźco bądź drogę do kapitalizmu, z którego w drodze dalszego rozwoju i rewolucji miał korzystać proletarijat, — ale oczywiście spółdziałanie takie klas poszczególnych i skądinąd sobie wrogich nie powinno zacierać świadomości swych celów i dróg własnych i odrębnych, nie powinno być niewolniczą ślepą służbą, poddaniem się jednej klasy w stosunku do drugiej.

Są to prawdy niewątpliwe, prawdy atoli o tyle tylko w zastosowaniu treściwe, o ile zjawiska badane są istotnie tem, o czym pisze autor artykułu w jednodniówce. Nie zapominajmy bowiem, że są przeciw ruchy ludowe, które nie mając określonych cech proletariackich, nie są li tylko wyrazem dążeń burżuazji „liberalnej”. Takie reformy i ruchy, jakim było usamowolnienie i uwłaszczenie włościan, ruch włościański w rewolucji rosyjskiej, obecny ruch „zaraniarski” w Królestwie, — aczkolwiek w pewnych szczegółach mogły odpowiadać potrzebom rozwojowym burżuazji i liberalizmu kapitalistycznego, to jednak niewątpliwie mieściły w sobie też głębokie pierwiastki rzetelnej demokracji społeczeństwa i były w swych konsekwencjach istotnych przez też burżuazję liberalną zwalczane.

Niemniej są usprawiedliwione zarzuty i wyrazy nieufności, skierowane w jednodniówce do „postępu” warszawskiego. Z innych wprawdzie względów, niż w stosunku do zwycięskiej burżuazji liberalnej Zachodu, ruch robotniczy i wogóle myśl demokratyczna zgłaszać musi cały szereg poważnych i zasadniczych zastrzeżeń w stosunku do tej postaci „postępu”. Ewolucja idejowa jaką „postęp” ten w latach ostatnich wykazał, nie zdolawszy osiągnąć zresztą żadnego zwycięstwa i wpływu trwałego w społeczeństwie, nie jest rzeczą li tylko przypadku.

Czy się zarzuty te i płynąca stąd nieufność zastosować dadzą do „postępowców” naszych tu w kraju, — to kwestja inna. Przedewszystkiem, kim są i gdzie, są ci „postępowcy” nasi? Czy ma ta być grupa ludzi która w wyborach do III Dumy popierała kandydaturę p. Wróblewskiego, o której jednodniówka wspomina? Był to zespół luźny, który się jakimś określeniem kierunku wspólnego ująć nie da. Są u nas wprawdzie jednostki, których ideały i aspiracje odpowiadają mglistym aspiracjom społecznego „postępu” warszawskiego w jego stadium kryzysu obecnego, atoli nie one, nie te jednostki stanowią u nas grupy czynne postępu i demokracji.

Wogóle uważałbym za nieściste i za niepożądane przeflansowanie na grunt stosunków naszych obecnej terminologii warszawskiej, — zwłaszcza co do kierunków i grup bardziej ku lewicy skierowanych. Przenoszenie żywcem tej terminologii uprasz-

cza może metodykę klasyfikacyjną, ale bodaj czy nie ze szkodą dla ścisłości badania. Termin „postępowiec” jest dziś w stosunkach warszawskich formułą określoną; przenosząc termin ten do Litwy, przenosi się zarazem mimowoli i formułę gotową.

Czy nie lepiej byśmy wyrazili układ już zarysowanych lub zarysowujących się dopiero kierunków naszych, gdybyśmy użyli tu słowa innego — mianowicie demokracji. Mamy w kraju kierunek demokratyczno-społeczny, mamy też wyraźnie zaznaczone w czynach konkretnych kierunki demokratyczne, takie jak ludowy białoruski i ludowo-antyklerykalny litewski.

Śród żydów mamy demokrację społeczną, mamy kierunek kadecki, mamy prądy między temi dwoma kierunkami pośrednie, demokratyczne. Śród polaków których masę główną i jak dotąd, najbardziej politycznie świadomą i czynną stanowi szlachta ziemiańska, prądy demokratyczne są istotnie najsłabsze (wyłączam rosjan). Dla demokracji społecznej jest u polaków podstawa w szeregach robotniczych i wyrobniczych Wilna. Poza demokracją społeczną chodzi o skryształowanie śród polskiego odłamu społeczeństwa nie jakiegoś bagienka „postępowców”, jak to przewiduje „Praca”, lecz kadrów demokracji dla zrzeszenia takowych z demokracją litewską, białoruską i żydowską, to znaczy demokracją krajową dla sprawy wspólnej.

Trudne są tu początki, brak materiału, brak zespołu, atoli bez okresu przejściowego, bez zapoczątkowań dzieło się dokonać nie da. Zaiste gra nie warta byłaby świec, gdyby nam tworzyć wypadło coś nakształt liberalizmu z obliczem na dwa fronty.

Michał Römer.

„Optymiści”

Publicysta przygodny bywa często daleko bardziej interesujący od zawodowego. Posiada tę niezależność i śmiałość dyletanta, która ułatwia

JAN ŻARSKI.

2

Ostatnie Natchnienie.

(D. C.)

— Jakiegoż więc Pan potrzebuje Natchnienia? szepnęła spuszcając lekko podczerniałe rzęsy p. Leta — dużego? małego? Do sonetu czy artykułu wstępnego? Czy mam otoczyć Cię poezją, czy wywołać nastrojową ciszę, czy może urządzić małą herbatkę prosząc kilka ładnych kobiet. *Oh, je ne suis pas jalouse* — wielcy ludzie mają swe kaprysy, które prawami być powinny... dla... bliskich.

— Doprawdy, Pani jest istotnie najlepszą, najżyczliwszą przyjaciółką; Pani mię rozumie jak nikt ale jednak to nie to... Nie oto mi chodzi... chciałbym... chciałbym w sobie samym, łaskawa droga Pani, odnaleźć owo czarowne źródło, z którego płynęły ku mnie myśli tak śmiałe i bujne, że ich nawet całkowicie ująć nie zdołałem. Były to niby hen skądys zza mór, zza gór zleciałe roje ptaków tęczyoiórych, trzepoczących pawiami skrzydły nad

moją rozpaloną, błędną głową. Drżącemi dłońmi łapałem ową ćmę lotną, przemijającą, zgarniałem ją ku bijącemu sercu i pragnąłem wyśpiewać cały jej czar i blask.

Niestety, ulatywała baśń pierzchliwa, w dłoniach zostawały kolibrowe piórka szumnych jej skrzydeł... ale i te mieniły się klejnotami barw, ale i echo mego Natchnienia było mi drogim jako wspomnienie o niem — tak drogim i cennym, że nie sądziłem wówczas o Pani, by mogła być cena na te... wrażenia.

— *Delicieux* — szemrała omdlewająco p. Leta — a... odtąd czy się znalazła cena na te wrażenia? — spytała z przejmującym przyciskiem w intonacji.

— Ach właśnie nastąpiła przemiana wartości i odstąpienie praw posiadania. Z chwilą, gdy dary mego Natchnienia wylądowały na targowisko świata, handlując niemi jak w pierwszym lepszym łokciowym interesie, od tej chwili nie było to już *moje*, lecz *cudze*, nie miało *wartości*... miało *cenę*. Mogłem to sprzedawać mogłem więc i nie posiadać.

— A sława i stanowisko? a urok towarzyszący powodzeniu... urok, któremu my... kobiety ulegamy tak

mu przeciwstawianie utartym, oklepanym twierdzeniom — prawd zupełnie nowych.

To też wolna trybuna „Kurjera Litewskiego“ ma we mnie sumiennego czytelnika. I nie żałuję tego. Od czasu do czasu dowiaduję się z niej rzeczy zgoła nieoczekiwanych, rzeczy, których z pewnością nigdzie indziej bym nie wyczytał.

Niedawno np. spotkałem się tu ze zdaniem niezmiernie oryginalnem. Oto p. M. Jałowicki wymawia „krzewicielom postępu“, iż „używają wszelkich starań, aby szczelnie pozamykać drzwi i okna od szkodliwego optymizmu“... Autor dał nam przytem do zrozumienia, że pesymizm jest właściwością postępców, optymizm zaś — konserwatystów.

Olśniewające odkrycie.

Dotąd ogólnie sądzono, że jest wprost przeciwnie: że ludzie, doszukujący się w dniu dzisiejszym zadatków lepszej przyszłości; żądający wezwania do czynu mocy realnych, zdolnych o przyszłość tę walczyć; ludzie, czasem nawet zbyt bezkrytycznie wierzący w piękno wszystkiego, co nowe, co jutrzejsze — słowem ci, którzy popularnie noszą miano postępców, są właśnie optymistami.

I nietylko są nimi. Zdaniem przeciwników swych, konserwatystów, optymizmem grzeszą nawet zbyt. Grzeszą, bo zapoznają fakt (dla zachowawców jasny), że „na świecie jest coraz gorzej“, że „ludzie dawniej byli moralniejsi, pobożniejsi“ i wogóle „żyć było łatwiej“.

Któż z nas takich zdań nie słyszał?...

Więc podczas gdy dla postępców dobre jest jutro ludzkości, dla konserwatystów — wczoraj. A że już nam Asnyk powiedział, iż „minionych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“ — ergo konserwatyzm powodów do radości nie ma i z natury rzeczy musi być pesymistyczny.

Takie, powtarzam, było ogólne mniemanie, aż do ukazania się wspomnianego artykułu p. Jałowickiego. Po artykule tym w opinii publicznej może nastąpi zwrot. Sądzę jednak, iż szanownemu twórcy tego przewrotu wypadnie jeszcze przedtem rozproszyć pewne wątpliwości, wynikające z własnych jego niedomówień i ogólników.

nieodparcie, za nic że już *Pan* liczy względy... moje... nie jest że to ekwiwalent tamtym przyzna *Pan*, abstrakcyjnym wartościom?

— Abstrakcyjne wartości! Pani! Tylko to ma cenę i wartość istotną, co się nie da ocenić ni ująć w stopniowanie wartości. Bo od określonego, realnego skarbu, choćby najwspanialszego, mogą się zawsze znaleźć większe, zresztą „li tylko to co nie istnieje, o luba, nie podlega złemu“.

— Nie wierzy *Pan* więc w realizację marzeń?

— Nie, bo wtedy są już czemś innym zgoła i najczęściej o wiele gorszem.

— Rzeczywistość jest że dla *Pana* tak bardzo złą?... Niewdzięczny... dodała z dąsikiem.

— Przeciwnie jest tak mile, sympatycznie dobrać, że może dla tego jest mi tak trudno oderwać się od niej w krainę fantazji. Może dlatego w tłumie tych wonnych, błyskotliwych cacek zagubiłem gdzieś Natchnienie moje. Bo pocóż myśl leniwa ma się odrywać od rzeczywistości i kroczyć szalonemi ścieżkami marzenia, kiedy tak puszyste są dywany twego salonu *Pani*, tak wygodny mój fotel przy biurku, tak zajmującą rozmowa hołdujących moimalentom czytelników i czytelniczek.

A więc przede wszystkim ciekawość bierze, czy istotnie dostrzega p. Jałowicki optymizm konserwatystów „wszędzie — jak mówi — gdzie z martwicy powstaje jakieś nowe życie“... Mnie się widzi, że dotychczas bywało inaczej. Gdziekolwiek. mianowicie, powstawało jakieś nowe życie z martwicy, tam zachowawcy regularnie mie wali — zmartwienie. Sprawiał im je każdy przełom dziejowy, nobilitujący godnością obywatelską, którąkolwiek z upośledzonych przedtem warstw narodu. U nas bardzo nawet charakterystycznie reagowali zachowawcy na podobne chwile. Od czasu bowiem Targowicy witali je stale jednym tylko okrzykiem:

— „Karauł!..“

Czyżby p. Jałowicki próbował twierdzić, że to było z uciechy? Zali w tym to okrzyku widzi dowód, iż konserwatyzm woli „świeży powiew budzącej się do życia wiosny od jęków cmentarnych“?... Powiew, w którym — jak się wyraża — „czuć tętno dalekiego życia“?..

Nie przeczę, iż zachowawcy, głównie rekrutujący się z ziemian, powiewy wiosny lubią. Przypuszczam jednak, że w umyśle ich kojarzą się one prędzej z marzeniem o pełnym śpichrzu, niż z przeczuciami „dalekiego życia“.

Parantelę tego ostatniego z konserwatyzmem widzi p. Jałowicki „w działalności poszczególnych jednostek, w rozwoju całokształtu naszych stosunków ekonomicznych, wreszcie w ogromnym postępie rolnictwa w latach ostatnich“.

I kwita. Tu kres marzycielskich wzlotów.

A gdzież idealizm, na który rzekomo zachowawcy również mają mieć monopol? Toć przecież gdy postępcy budować chcą przyszłość na poprawie stosunków ekonomicznych, wymawia im się stale materjalizm, gruby materjalizm.

No tak, ale zachowawcy to co innego,

Brudnym materjalistą bywa parobek, żądający podwyższenia „zasług“ i ordynarji; dziedzic, broniący swej kieszeni — to idealista. Idealista, bo nietylko tradycję szanuje, ale też krzewi pogardę dla dóbr doczesnych — chłopca, oczywiście.

Lecz owe „tętno dalekiego życia“, uszom konserwatywnego optymisty dostępne, brzmi nie-

Rzeczywistość, jak skrzętna gosposia, tak mi pilnie wypełniła codzienne potrzeby duszy i ciała że na żadne wycieczki odświeżne niema się już ochoty. Wyobraźnia wydziera się od złej rzeczywistości i dla przeciwwagi szybuje w krainy nieopisanego piękna — od dobrych warunków bytu uciekać myślą choćby, byłoby... bezcelowym nonsensem.

— No tak to lubię, lubię widzieć *Pana* znów w tej pogodnej harmonji myśli, do której przywykłam.: rozumiem, och i jak jeszcze tę pięknych dusz tęsknotę za ideałem, ale sam *Pan* wie z doświadczenia, że trzeba się zniżyć do przeciętnego poziomu — do tłumy, aby być przezeń zrozumianym — i w ten może sposób wpływać nań... wznosić go do tych wyżyn ducha, na których przebywają... na których intelekty jak pańskie gotują ludzkości przyszłość... jaśniejszą od naszej biednej terażniejszości... — mówiła pochylając się ku Mirosławskiemu, rada z wybrnięcia szczęśliwie z zagmatwanych frazesów nabytych w obcowaniu z literaturą (w osobie literatów).

— Ja wierzę w przyszłość *Pani* — dodała znacząco i cokolwiek luźnie w stosunku do poprzednich elukubracji, ale zupełnie i bezpośrednio logicznie do własnych myśli i zamiarów.

tylko idealizmem wątpliwego dźwięku. Sam jego optymizm tak jest mizerny i wąty, że należy się nam objaśnienie, co go właściwie od rezygnacji różni?

A może p. Jałowicki każe nam szukać dowodów optymizmu w dotychczasowej polityce zachowawców; w tej polityce, co głowy ich okryła kapturem ugody i wpędziła do zakonu braci żebrzących; albo może w tej nowej, osłaniającej szyldem realizmu nędzę, wstydzając się żebrać?

O, w takim razie istotnie konserwatyizm utożsamiać można z optymizmem.

Tylko niech nas wówczas p. Jałowicki nie wysyła po „rozjaśnienie czoł“ i wzory „pierwiastków duchowych“ — do Anglii. Niech nam nie każe wierzyć, iż optymistami są tam z przestarzałych prerogatyw odzierani lordowie, a pesymistami George i Asquithy, podający dziś dłoń brudnym, spoconym kopaczom węgla.

Optymizm angielski nic nie ma wspólnego z idyllami o sobolach i pannach; nie szuka on pociechy w okrągłych, lecz pustych frazesach wybitnych publicystów, ochraniających starannie opinię przed prawdą życiową. Prawdzie tej nie lęka się patrzeć prosto w oczy; chce o niej wiedzieć, znać ją i z nią się rachować. I w tym właśnie moc jego, jego wiara, na dziejowych dowodach oparta, że tylko śmiałe badanie rzeczywistości daje nad warunkami życia zwycięstwo.

Tej wiary jednak i tego optymizmu nigdy chyba nie posiadają tchórzliwi sklejacze skorup przeszłości.

B. H.

Ewolucja form własności ziemskiej i ruch kooperacyjny.

I.

Prawa ewolucji i determinizmu rządzą życiem społecznym. Jak z ustroju, opartego na niewolnictwie, wypłynął ongi feudalizm, przekształcając

stosunki prawno-społeczne odpowiednio do potrzeb produkcji rękodzielniczej, tak z feudalizmu wyłonił się kapitalizm wraz z przynależną mu formą i sposobem produkcji oraz odpowiednią nadbudową społeczno-polityczną.

Rynki międzynarodowe w znacznym stopniu się przyczyniły do przyspieszenia tempa produkcji kapitalistycznej. Atoli te same rynki są poniekąd przyczyną, dla której wewnątrz poszczególnych krajów równoległe do rozwoju kapitalizmu utrzymują się przestarzałe formy produkcji przedkapitalistycznej. Spekulując na rynki zewnętrzne, kapitalizm nie przenika w głąb do stosunków wewnętrznych krajowych i zwłaszcza w stosunku do wsi nie wypełnia swej misji historycznej. Zjawisko te uwydatnia się szczególnie charakterystycznie u nas i w Rosji, jak wogóle w krajach, opóźnionych w rozwoju gospodarczym i kulturalnym.

Kapitalizm jeno powierzchownie się, że tak powiem, przesłizga przez wieś naszą, nie reformując zasadniczo naszej gospodarki społecznej. Do dziś dnia panuje jeszcze u nas w stosunkach wiejskich t. zw. naturalna forma gospodarki z właściwą jej techniką i przeżytkami feudalizmu. Kapitalizm dotknął wieś naszą raczej swymi cechami ujemnymi (konkurencja i rozwielenienie się tandety na rynku wewnętrznym), niż dodatnimi. Misja kulturalna kapitalizmu nie została u nas dotychczas spełniona. Ani pojemność terytorjum nie została dotychczas zwiększona, o czem świadczą ciągle rozwój ruchu emigracyjnego, ani też technika, właściwa kapitalizmowi, nie została dla naszej wytwórczości krajowej, a tem mniej dla rolnictwa, pozyskana. Wprawdzie w postaci kapitału handlowego kapitalizm przenika i do wsi naszej, lecz dwa zasadnicze i potężne czynniki gospodarki kapitalistycznej, — mianowicie kapitał wytwórczy i kredyt — prawie że u nas nie istnieją.

Sytuacja ekonomiczna kraju a w szczególności wsi naszej, i płynące z niej horoskopy na przyszłość — są bardzo niewyraźne. Trudno przypuścić, aby kraj nasz zdołał ominąć czy przeskoczyć fazę gospodarki kapitalistycznej, cechującej

— Ja... ja także — pośpieszył z zapewnieniem pan Marjan zdając sobie w gruncie rzeczy od razu sprawę, że cała ta duchowo - literacka konferencja jest w istocie popularnym kursem erotologii, albowiem... „Kochanko ma, coż są wyrazy? Słowa, słowa słowa“ — natomiast ruchy, intonacje, spojrzenia i attitudy: w tem dopiero było jądro kwestji, jej sens i cel właściwy.

— A więc — przeciągle zaczęła p. Leta, czyniąc estetyczne a bezcelowe ruchy, rozwiewające fale upajających perfum, któremu jej zalotne szaty były przepojone — a więc? Do mnie Pan jednak przyszedł szukać Natchnienia. To dobrze... to niezapomniane we mnie zostawi wspomnienie.

— Więc Pani przyznaje że ono tutaj, uwiezione, zapomniane...

— Zapomniane, o nie — zawsze mi stało w pamięci stanowisko, które Pan w literaturze naszego biednego kraju zajmuje, pragnęłam zawsze być dla Pana czemś więcej niż przeciętną znajomością, widzę, iż tak się stanie, że się już stało — bo to mi wiele przeczucił moich tłumaczy... wiedziałam że ta godzina nadejdzie, bałam się jej.

— Więc istotnie, tak jak podejrywałem, zrabowałaś mi Pani moje Natchnienie!

— Ach, odszukamy je razem — cały mój dom jest na Twe rozporządzenie... i ja... towarzyszyć Ci będę w poszukiwaniach.

Szukali więc pilnie, umiejętnie i gorliwie, gdzie się dało. Niezgorszy im na tem zajęciu upłynął kawał czasu — Mirosławski był pełen dobrych chęci i zapału, poprostu zamienił się w rodzaj Sherlock Holm'esa poszukiwań i nie ominął żadnej skrytki — Pani Leta wykazała ujmująco dobrą wolę w wypełnianiu jego wskazówek. Dom cały stał się pastwą *idée fixe* sławnego człowieka, ale niestety, mimo że mu się zdawało raz po razie, że oto słyszy lotny krok umykającego z pokoju do pokoju ducha, że szelest szat czy skrzydeł owija go tęczą barw, że para warg pachnących różą muska mu skroń — stwierdzał jeno za każdym razem, że p. Leta jest kobietą urody i wdzięków niepospolicie wytrzymałych zbliżającą się 40-stą wiosną; Natchnieniem jednak nie jest i co gorsza, u siebie takowego nie posiada zgola.

(Dok. n.).

w czasach nowożytnych każdy wyżej rozwinięty organizm społeczny; skądinąd zaś warunków do rozwoju gospodarki tej dziś u nas dostrzec niepodobna: nie mamy nagromadzonych zasobów kapitału indywidualnego, nie posiadamy też w kraju przyrodzonych bogactw naturalnych. Jeżeli uwzględnimy tu jeszcze ciężkie warunki polityczne oraz przemoc zorganizowanej biurokracji, która, pochłaniając znaczną część dochodów tak z Rosji rdzennej, jak z kresów, tamuje w kraju naszym bardziej jeszcze, niż gdzieindziej, wszelką inicjatywę społeczną, wszelką organizację samopomocy zbiorowej, nie dając ujścia siłom twórczym społeczeństwa, to się już wyczerpią główne przyczyny zacofania naszego na polu ekonomicznym.

Ostatniemi czasy, co prawda, ujawniła się wśród obszarników naszych wyraźna dążność do postawienia gospodarstwa rolnego na stopie kapitalistycznej. Czy wszakże dążność ta ma i jakie mianowicie szanse powodzenia? Wydaje mi się to wątpliwe. Nim to nastąpi — wielka własność, za nielicznymi może wyjątkami, zniknie bodaj z horyzontu naszego, wprost dla braku wyższej skali organicznego składu kapitału, niezbędnego dla obsługiwanego kapitalistycznej gospodarki rolnej na większym obszarze ziemi. Dla przeważnej części kraju naszego minął już ten czas, kiedy wprowadzenie gospodarstwa rolnego na tory kapitalistyczne było na dużych obszarach ziemi, aż nadto możliwe. Brakło tylko chęci, umiejętności oraz odrobiny poszanowania dla tych jedynych bogactw przyrodzonych, w które Litwa i Białoruś tak niegdyś obfitowały, — dla lasów. Niestety, lasy, na skutek gospodarki rabunkowej, popłynęły już przeważnie zagranicę, traktowane zaś po macoszemu gospodarstwo rolne nie przewyższa na dużych obszarach pod względem wydajności gospodarstw średnich i drobnych.

Teraz, gdy już ziemianie siedzą po uszy w długach i gdy sprzedaż lasu ma się ku końcowi, zabrali się oni do skapitalizowania produkcji rolnej, do oparcia gospodarstw latyfundijskich na racjonalnych przesłankach kapitalizmu. Czy nie zapóźno i czy się na przesłankach tych nie zawiodą? Różnych sposobów ima się ziemianin dla dopięcia celu: kupuje narzędzia rolnicze, sprowadza nawozy sztuczne, karmi racjonalnie krowy, lecz jednocześnie brnie coraz głębiej w długi, a ratując się od krachu, czy to sprzedaje resztki lasu, czy też obcina latyfundijskie, jak bułkę chleba, sprzedając ziemię jej odwiecznym posiadaczom i dziedzicom z tytułu pracy, — przedstawicielom drobnej własności.

Płaca rąk roboczych, nie absolutnie oczywiście, lecz w stosunku do cen zboża i innych wytworów produkcji rolnej, jest zbyt wysoka, a przeto t. zw. wartość dodatkowa, stanowiąca niezbędne źródło powstawania kapitału w każdym przedsiębiorstwie kapitalistycznym, zredukowuje się do minimum. Równoległe natomiast postępuje kosztowność środków, stosowanych przy intensyfikacji gospodarstwa rolnego, oraz utrzymuje się wysoka stopa procentowa kapitałów prywatnych, będących w obiegu. Względy te utrudniają niezmiernie meljoracje, zwłaszcza prowadzoną na kredyt. Wiedzie to liczne intensyfikujące się gospodarstwa rolne czy to do sprzedaży z młotka, czy też do parcelacji. Dodać należy, że słabo rozwinięta wytwórczość krajowa nie jest w stanie pochłoniąć pieniędzy, przysyłanych z Ameryki, a centralizacja finansowa państwa przelewa za nieduży procent (3.60) drobne kwoty pieniężne

przez rządowe kasy oszczędnościowe do Banku Państwa. Ten ostatni zaś podnosi procent do rozmiarów wprost olbrzymich (aż do 6 proc!). Oczywiście, że taki drogi kredyt stanowczo się nie nadaje do żadnych przedsięwzięć meljoracyjnych; pozatem korzystanie z kredytu tego jest dla ziemian zbyt utrudnione na skutek policyjnej metody traktowania sprawy tej przez Bank Państwa.

Zapóźno się jął inowacji postępowych przedstawiciel wielkiej własności ziemskiej. Zadanie postawienia gospodarstwa wielkorolnego na stopie kapitalistycznej jest już dziś ponad siły jego. Mówię oczywiście o normie przeciętnej, nie zaś o ewentualnych wyjątkach poszczególnych. Nie wiele mu tu pomogą czy to instruktorowie obór czy też drenowanie, bo wszystko to, dla braku środków, będzie prowadzone przez byle kogo i byle jak. Wytnie on do pnia, gdzie jeszcze takowe są, resztki lasu, zostawiając drobnym właścicielom w spuściźnie cenę po rb. 25 sążeń drzewa na miejscu.

Misja wielkiego właściciela ziemskiego, klasycznego feudała, jako pioniera kultury rolnej ma się już na Litwie i Białej Rusi ku końcowi. Nie tu szukać należy wzorów dla kultury rolnej i wytwórczości kapitalistycznej. Kapitał z jego rolą konstrukcyjną w akcie tworzenia kultury społecznej, — przejść musi do zrzeszonych sił społecznych, — do kooperacji.

Zenon Kuncewicz.

(Przyp. Redakcji). Niniejszy artykuł p. Zenona Kuncewicza, ziemianina z pow. lidzkiego, jest wstępem do drugiego artykułu tegoż autora — o kooperacji rolnej. Poruszone w nim zagadnienia są dla kraju naszego bardzo żywotne. Z chęcią przeto udzielibyśmy w piśmie miejsca innym artykułom na ten sam temat, bądź rozwijającym szczegółowiej, bądź w pewnym zakresie prostującym tezy p. Kuncewicza. Sprawy takie, pierwszorzędnej wagi, winny być w prasie krajowej jak najobszerniej i najstaranniej omawiane.

Pamięci Hercena.

Pierwszy dzień świąt Wielkanocnych zbiegł się w tym roku z setną rocznicą urodzin Aleksandra Hercena, jednego z najszlachetniejszych polityków i publicystów rosyjskich, który w połowie zeszłego wieku wywierał wpływ olbrzymi na swe społeczeństwo, którego imię otacza część wyjątkowa w kołach Rosji postępowej.

Aleksander Hercen urodził się 25 marca roku 1812 w Moskwie, na pół roku przed zajęciem tego miasta przez armję Napoleona, a był synem bogatego obywatela ziemskiego, Jakowlewa i nieślubnej jego towarzyski życia, niemki, Luizy Haag ze Sztutgardu. Wychowanie odebrał nader staranne, najpierw w domu, gdzie kształceniem jego zajmował się francuz, guwerner, gorący republikanin i rewolucjonista z czasów konwentu, a następnie w uniwersytecie moskiewskim, gdzie idee wielkiej rewolucji francuskiej znalazły skromne odbicie w kółkach, grupujących się koło samego Hercena i Ogarewa.

Wkrótce po skończeniu uniwersytetu Hercen wraz z przyjaciółmi aresztowany był i zesłany do Wiatki, skąd w r. 1837 pozwolono mu przenieść

się do Włodzimierza nad Kłazmą. Tam ożenił się ze swą cioteczną siostrą, a gdy po dwóch latach powrócił do Moskwy, zastał tam już panujący bezwzględnie wpływ Hegla, zabrał się zatem do studjowania prac tego filozofa, co pozwoliło mu potem zwalczać samodzielnie wypływające z tego samego źródła poglądy głośnego krytyka Bielińskiego.

W okresie 1843—1847 Hercen rozwijał w Moskwie żywą działalność publicystyczną i literacką, choć oczywiście musiał się w niej liczyć z surową cenzurą ówczesną. Dopiero wyjazd do Paryża, na który w r. 1847 uzyskał pozwolenie, ułatwił mu nabranie szerszego oddechu. W Paryżu trafił Hercen na atmosferę rozgoryczenia wśród żywiołów radykalnych, zawiedzionych w swych nadziejach, skutkiem odwrotu burżuazji. Pod wpływem tego rozczarowania Hercen nabrał sceptycyzmu względem kultury zachodnio europejskiej i począł wykazywać tendencje słowianofilskie. Doszedł on do przekonania, że od Zachodu niema czego oczekiwać, że jest on „zgniły“, że dni jego są policzone i że świat powinien oczekiwać ratunku od Rosji, w łonie której kryje się zapas sił niezużytych.

Poglądy te żywił Hercen do samej śmierci, pomimo, że jego przyjaciele usiłowali wpłynąć na ich zmianę. „Dlaczego pan nie uzasadni — pisał doń Bakunin—tej ważnej dla pańskiej teorii kwestji, oto, czemu ta gmina, od której pan oczekuje takich cudów w przyszłości, w ciągu 10 wieków swego istnienia nie wydała z siebie niczego, prócz opłakanego niewolnictwa?“

Od r. 1856, aż do powstania 63 r. przypada okres najbardziej wyteżonej i owocnej działalności Hercena, który po kilkuletnim blakaniu się po Francji i Włoszech, osiadł na stałe w Londynie.

Ogromny rozgłos zjednał Hercenowi ogłoszony zaraz po śmierci Mikołaja I list otwarty do cesarza Aleksandra II, wskazujący mu w tonie skromnym, ale śmiałym konieczność uwolnienia włościan z dotychczasowego stanu niewolnictwa. List ten, datowany 22 marca 1855 r. rozszedł się tysiącami w odpisach z rąk do rąk i wywarł w Rosji wrażenie wprost wstrząsające. Odtąd przez lat osiem głos Hercena słuchany był z najwyższą uwagą na rozległych obszarach Rosji. Rozpoczęte na jesieni tegoż roku wydawnictwo czasopisma „Polarnaja Zwiezda“ i następnie redagowany wspólnie z Ogarewem „Kołokoł“ zjednały sobie wpływ nieznaną dotychczas w dziejach umysłowości rosyjskiej i w znacznym stopniu oddziaływały na przyspieszenie rozwiązania kwestji włościańskiej.

„Wszędzie, zawsze, we wszystkim być po stronie wolności — przeciwko przemocy, po stronie rozumu — przeciwko przesadom, po stronie nauki — przeciwko fanatyzmowi, po stronie rozwijających się ludów — przeciwko cofającym się rządóm. Takie są nasze ogólne dogmaty. W stosunku do Rosji pragniemy gorąco, z całym zapalem miłości, z całą siłą ostatniego wierzenia, aby z niej spadły wreszcie niepotrzebne stare powijaki, krępujące potężny jej rozwój. Dlatego uważamy za najpierwszy, konieczny, najpilniejszy krok:

Uwolnienie słowa drukowanego od cenzury!

Uwolnienie włościan od obywateli ziemskich!

Uwolnienie stanu opodatkowanego od razów.

„Nie poprzestając, zresztą, na tych kwestjach „Kołokoł“, poświęcony wyłącznie interesom rosyjskim będzie dzwonił, czemkolwiek zostanie poruszony — prześladowaniem „raskolników“, złodziejstwem dygnitarzy lub obskurantyzmem senatu.

Śmieszne i występne, złe i głupie — o wszystkim będzie dzwonił „Kołokoł“.

„Dlatego też zwracamy się do wszystkich rodaków, dzielających nasze ukochanie Rosji i prosimy ich nie tylko słuchać dzwonięcia „Kołokoła“, lecz i dzwonić weń“.

Tak pisał Hercen, wydając dnia 1 lipca 1857 r. pierwszy numer „Kołokoła“. „*Vivos voco*“ — dewiza pisma, znalazła świetne urzeczywistnienie. Na dzwon „Kołokoła“ odezwało się wszystko, co wówczas w Rosji żyło, myślało i czytało. „Kołokoł“ w pierwszych latach z łatwością przemycany przez granicę, czytany był zarówno w pałacach, jak pokojkach studenckich, a rząd bynajmniej nie lekceważył piorunujących artykułów Hercena, piętnujących wszelkie nadużycia administracji.

Rok 1860 był kulminacyjnym momentem w rozwoju „Kołokoła“. Wpływ jego odtąd zaczął upadać. Po uwłaszczeniu włościan, program „Kołokoła“, żądający zniesienia przywilejów stanowych i całkowitego wywłaszczenia szlachty, dla wielu dotychczasowych jego zwolenników stał się zbyt radykalnym. Rząd również począł daleko surowiej prześladować nielegalne pismo i stosunki z Hercenem pociągały niebezpieczne konsekwencje. W nastroju społeczeństwa wyraźnie dawało się odczuć zubożenie względem niedawnego bożyszczka. Na arenę publiczną wystąpili nowi działacze: Dobrolubow, Pisariew, Czernyszewskij. Powstanie polskie, które znalazło w Hercenie gorącego obrońcę, ostatecznie go zdepopularyzowało. W końcu r. 1863 poczytność „Kołokoła“ spadła z 2500 egzemplarzy do 500. Na stanowisku najwplywowszego publicysty w Rosji zamiast Hercena znalazł się nagle — Katkow. Odtąd rola polityczna Hercena była skończona. Niebawem przemieścił się z Londynu do Gienewy, a wreszcie zmarł dnia 9 stycznia 1870 r. w Paryżu, zapomniany i opuszczony przez szerokie koła swych rodaków.

Pozostała tylko pamięć człowieka szlachetnego, wiernego do grobu swym humanitarnym ideałóm.

a.

Ze wspomnień Hercena o polakach.

...Punkt naszego wyjścia był inny. Ideał polaków znajdował się za nimi, oni szli ku swej przeszłości i tylko od niej mogli zacząć swój pochód naprzód. Oni posiadali mnóstwo relikwji, a nasze kołębki były puste. W każdym ich czynie i w całej poezji tyleż rozpacz, co gorącej wiary. Oni pragną zmartwychwstania umarłych, my jaknajśpieszniej chcielibyśmy pogrzebać swoich. Inne są formy naszego myślenia, ufności — duchem, naturą całą jesteśmy do siebie niepodobni. Nasz związek z nimi, był dla nich megaljanszem, czemś w rodzaju małżeństwa z rozsądkiem.

...W pomroce mikołajewskich rządów więcej mieliśmy dla siebie współczucia. Ale kiedy okno cokolwiek otworzono, zrozumieliśmy, że przyszliśmy innemi drogami i rozejść się będziemy musieli w różne strony. Po wojnie krymskiej wiemy odetchnęli wesoło, a ich nasza radość obraziła; inna atmosfera w Rosji dla nich było tylko przypomnieniem strat, nie nadziei. My nowy okres zaczynaliśmy od żądań, od gwałtownego wrywania się naprzód — oni od nabożeństw i modlitw za umarłych..

Z życia litewskiego.

Statystyka teatralna.

Teatr w życiu społecznym i umysłowym litwinów ma dotąd wyjątkowe znaczenie. Powołany do życia w latach dziewięćdziesiątych, gdy poczucie narodowościowe w szerszych warstwach litewskich budzić się dopiero zaczynało, aż do ostatnich prawie czasów służył tylko za środek do szerszego uświadomienia tych warstw—nie tyle treścią wystawianych sztuk lub grą przygodnych aktorów—ile ze względu na to, że aż do niedawna jeszcze, w wielu zaś miejscowościach dotychczas nawet, zastępuje brak publicznego życia litewskiego. Przedstawienia amatorskie ściągają mniej lub więcej liczną publiczność litewską, która słysząc na scenie i na sali mowę litewską—jeżeli zwłaszcza przedstawienie w danej miejscowości odbywa się poraz pierwszy—oraz znajomiąc się z wybitniejszymi jednostkami, żywiej zaczyna odczuwać swą odrębność narodowościową, śmieiej się do niej przynajmniej, zainteresowuje się sprawami ogólnymi, wciąga się wreszcie w szersze życie społeczne. Doniosłość teatru pod tym względem inteligencja litewska zrozumiała oddawna; rzadko też kto w ten lub ów sposób nie brał lub nie bierze w nim udziału.

Jakkolwiek wzmożenie się i zróżniczkowanie życia społecznego wpływa na rozwój teatru litewskiego w kierunku większego jego usamodzielnienia i głębszego uwzględnienia czynników estetycznych i teatr, jako taki, stawiać sobie zaczyna zadania coraz śmielsze (mówi się nieraz naprz. o konieczności założenia stałego teatru, a przynajmniej utworzenia trupy aktorów zawodowych), tej jego wyżej zaznaczonej *pierwotnej* roli społecznej za zakończoną uważać nie można. Ogólne warunki polityczne, wstrzymując rozwój życia społecznego i kulturalnego, opóźniają jednocześnie i rozwój teatru litewskiego w powyższym kierunku, utrzymują go w mniejszym lub większym stopniu w tej roli.

W ostatnim półroczu w prasie litewskiej ukazało się kilka przyczynków, charakteryzujących w ten lub ów sposób *pierwszy* okres w rozwoju teatru, że wymienimy naprz. wspomnienia A. Rucewicza o przedstawieniach potajemnych w gub. suwalskiej w latach 1901—1902, art. Żemkalis z dziejów teatru 1905—1910 r. i in. Podzielimy się tu z niektórymi danymi z art. Nuobodelis'a p. t. „Ze statystyki teatru litewskiego“, zamieszczonego w *Jednodniowce* r. b. „Zvilgsnis“. Dane te są zebrane z pism litewskich w t. zw. Litwie Wielkiej (gub. kowieńskiej, wileńskiej i suwalskiej) oraz kolonjach litewskich w głębi Rosji, w Łotwie, Królestwie itd.; Litwa pruska, Szkocja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie są wzięte pod uwagę. Oczywiście zebrane przez N. dane nie są zupełnie ściśle, gdyż wykazują tylko te przedstawienia, o których były wzmianki w prasie.

Pierwsze legalne przedstawienie litewskie w granicach państwa rosyjskiego odbyło się w Petersburgu d. 31 marca 1896 r. („Zięć od parady“ Blizińskiego); pierwsze w Rydze—w lutym 1898 r., w Libawie i Mitawie r. 1900. W granicach Litwy właściwej aż do r. 1904 czyli do zniesienia zakazu używania czcionek łacińskich w druku litewskim odbyło się jedno jedyne przedstawienie legalne, mianowicie 8 sierpnia 1899 r. w Połdże; przedsta-

wienie to, ściągnęło na uczestników represje i prześladowania. Nie mogąc urządzić przedstawień legalnych, zadawalniano się potajemnymi. Pierwsze takie przedstawienie, o ile wiadomo, odbyło się w r. 1897 w poniemuńskiej gminie pow. jezioroskiego. Rozpowszechnione zwłaszcza były przedstawienia potajemne w latach 1901 i 1902, zarówno w gub. suwalskiej jak i kowieńskiej, mniej liczne w 1903—04, zanikły zupełnie w roku 1905—08, od roku zaś 1909 znowu gdzieś są urządzane. Ogółem podług obliczeń N., od r. 1896 aż do 1904 włącznie odbyło się minimum 84 przedstawienia, w czym 51 legalne i 33 potajemne; wśród legalnych 33 przypada na Petersburg, 10 na Rygę itp.

Od końca r. 1904 władze dają zezwolenia na urządzanie przedstawień i na Litwie. Od końca też tego roku (jedyne przedstawienie w r. 1904—w Szawlach) aż do końca 1910, czyli w ciągu sześciu lat, urządzono przedstawienia przeszło w 120 rozmaitych miastach, miasteczkach, wioskach i majątkach, mianowicie w pow. wilkomierskim w 18 miejscowościach, poniewieskim—17, jezioroskim—13, rosieńskim—12, szawelskim—11, telszewskim—9, kowieńskim—7, marjampolskim—6, wołkowyskim—6, władysławowskim—5, kalwaryjskim—5, sejneńskim—4, suwalskim—2, wileńskim—3, trockim—3 i święciańskim—2.

Wogóle przedstawień (licząc i kolonje poza Litwą—Petersburg, Odese, Moskwę, Charbin, Rygę, Mitawę, Libawę, Mińsk, Warszawę, Łomżę, Suwałki i in.) w latach 1905—1910 odbyło się:

Rok.	na Litwie.	Ogółem.
1905	21 — 22	34 — 39
1906	48 — 52	66 — 72
1907	89 — 98	99 — 112
1908	113 — 127	139 — 155
1909	160 — 177	179 — 201
1910	149 — 167	184 — 210
	580 — 643	701 — 789

Opierając się na tych danych, zarazem na przedstawieniach 1896—1904 r. (84) i przypuszczając z wszelkiemi prawdopodobieństwem, że w roku 1911 ilość przedstawień nie zmniejszyła się, N. twierdzi, że w końcu r. ub. ogólna ilość przedstawień litewskich (od r. 1896) dosięgła *tyśiąca*.

M. B.

Janusz Korczak.

(Dokończenie).

Niezmiernie charakterystyczne w tym względzie jest zdanie Stendhala, który lekcewał sobie napaśzoność, kwiecistość, obrazowość języka. Chodziło mu przede wszystkim o *pojęciową ścisłość*, o wyraźność myśli, jaką wypowiada. Bourdeau robi uwagę, że Stendhal dlatego zarzuca Merime'mu zbyt wielkie przywiązywanie wagi do stylu, do formy, dowodząc, iż żołnierz na polu bitwy

powinien strzelać, a nie polerować fuzję. Po stronie Stendhala co do tego zagadnienia stanął Taine, Zola — oni to byli wielbicielami tego suchego, szematycznego pisarza, który powieści swoje pisał jak studia filozoficzne, jak referaty naukowe. Kwestja tego rodzaju znajduje wytłumaczenie w psychologii samej emocji myśli, która to udaremnia emocjonowanie się słowem. Jeżeli zachodzi wypadek, że pisarz głębią języka porywa, odsłania samą dźwiękowością i plastyką te myśli, które miał na celu — spotykamy się z rzadkiem dziełem sztuki, imię którego powaga, wielkość, czyn. Słowo działające swoją uczuciową powagą może się zjawić tam, gdzie ono wyraża świat poważny, świat mierzenia się z pracą przeszłości w imię przyszłości.

Celowo podnoszę tu kwestję języka, kwestję artystyczności; w stosunku bowiem do Korczaka wyrobiło się jakieś lekceważenie jego w pracy w skutek „feljetonowości“, nie zwracanie uwagi na wysiłek myśli, gdyż z „publicystyką“ poważni (!) krytycy nie zwykli się liczyć. Niechęć tu bronić artystyczności Korczaka. Chcę jednak zaznaczyć, że subiektywne rozumienie zagadnienia krytyki powinno było powstrzymać tych krytyków od apodyktyczności sądów. Gdy się stoi na ruchliwym podłożu czuć i wyczuć, a przytem, gdy przypomnimy sobie orzeczenie James'a, że niema dwóch czuć, dwóch stanów świadomości do siebie podobnych — należałoby się spodziewać, iż uwzględnwszy to założenie spotkamy ze strony „subiektywistów“ pełne zastrzeżeń „wyroki“. Nieodwołalność, bezwzględność trzeba więc przypisać na karb nieświadomości sobie założeń, które wydadzą tak wręcz sprzeczne skutki.

Rozumiem, że Niemojewski jest bezwzględny. Ten pisarz zajmuje tak określone stanowisko, że względność należałoby uważać za kurtuazję lub hipokryzję. Rzecz ma się natomiast zgoła inaczej z pisarzami ze szkoły, która propaguje „podmiotowość“. Pisarze ci, zaznaczając wszędzie podmiotowość krytyki literackiej, zupełnie nie podmiotowo orzekają o wartości dzieła. Krytyką swoją chcą powiedzieć, że poza sądami ich inne nie mają racji bytu, co zdaje się nie jest konsekwencją podmiotowych założeń kryterjoznawczych.

Korczak, współtwórca kultury, gdy zostanie pominięty i niezrozumiany w istotnych źródłach swojej pracy, jako „stylista“, bardzo być może, nie jest interesującym. Krytyka w Korczaku szukała dotychczas stylistyczności, omijała świat jego ukochań i pragnień, świat jego pracy.

Twórczość swoją Korczak wśród pisarzy „Młodej Polski“ rozpoczął tem, że zanegował swoją z nimi łączność, (Pierwsze stronicie „Dziecka Salonu“) odgrodził się myślą swoją od Przybyszewskiego, a nawet Żeromskiego — prosił „by z duszy mu wyszli“ wszyscy autorzy, że chce wśród społecznego świata pozostać sam. Pozostał sam i to go zaprowadziło do środowisk ludzi pracujących, wydziedziczonych i zgłodniałych. Korczak — jako pogląd na świat, zrozumiał w tej swoje wędrówce, że podłożem dzisiejszego myślenia i pracy są interesy klasy pracującej, klasy, która wytwórczością swoją trzyma na barkach społeczne społeczeństwo. W rytmie dziejowego rozwoju myśl musi zawsze sekundować pracy, praca ukonkretnia myśl, myśl tworzy pracę. Dialektyka przemian myśli w świadomościowy czynnik pracy, jak i pracy w myśl — jest eurytmia, jest faktem spółtowarzyszącym obydwom zjawi-

skom. Myśl i praca — to dwa dżametry jednej i tej samej chwili stawania się życia.

Ta droga myśli poprowadziła Korczaka na taki szlak widzenia rzeczy, który zmusza człowieka by celowo żył, tworzył. Pomóc niedoli człowieka chciał Korczak. Usiłował w koncepcji literackiej stworzyć „szkołę życia“. Szkoła ta miała urabiać charakter i serce, miała z bezdusznej, urzędowej „kazarmy“ stworzyć kuźnię duchów, które zawładną ziemią. Ekonomiczny czynnik przemieniający u podstaw dzieje nie znalazł w nim całkowitego wyznawcy. Korczak zrozumiał, że przekształcać trzeba równocześnie wszystkie społeczne instytucje, przekształcać mózg, świadomość. Szkoła jego miała być szkołą otwierającą oczy na rzeczywistość, miała w programie swoim budować z dziecka świadomego obywatela.

Z piersi Korczaka wydrze się niekiedy tragiczny jęk: cóż pomogą te recepty, które ja piszę, ludziom nie mającym za co kupić sobie kawałka chleba? Lecz wiara Korczaka otwiera perspektywy, w której ten jęk staje się hejnałem walki. „Szkoła życia“ zmieni wszystko, celowość jej urzędowania wiele pomoże, by złagodzić nędzę istnienia wydziedziczonych. Już w „Koszalkach“ zwracał Korczak uwagę na wychowanie. Bolesnym szyderstwem obrzuca rodzinę pewnego młodzieńca, który dzięki wychowaniu stał się złodziejem. Kształtować duszę dziecka, tworzyć z niego świadomego obywatela — oto obowiązek społeczny. Porządna „Szkoła życia“ może się stać dźwignią postępu, terenem walki z ciemnotą nietylko upośledzonych, lecz również i uprzywilejowanych. W ten sposób szkoła stanie się na całym obszarze społecznego życia czynnikiem wychowującym przyszłość. Zrozumienie, przemyślenie jak owocną może być pedagogiczna praca nad duszą dziecka — poprowadziło Korczaka między „Antki, Franki, Staśki“. W świecie tych małych ludzi poczuł się jak w swoim żywiole, jego Franki, Antki dopomogą spojrzeć głębiej w istotę umiłowanej sprawy.

Sprawę Korczaka trzeba witać z uznaniem. Komu drogą jest przyszłość swojego narodu, komu sprawiedliwość dzisiejszej gospodarki ekonomicznej nie wydaje się być zadawalającą, komu świadomość idejologiczna każe szukać idei w teraźniejszości — ten w Korczaku ujrzy jednego z najbardziej czynnych bojowników przyszłości, uczei w nim powagę jego pracy, świętość skutków, do jakich dąży.

Obok Żeromskiego, Sieroszewskiego, Daniłowskiego — Korczak jest jedną z składowych części tego zespołu twórczości, który pielęgnuje w sobie tradycje prometejskich duchów, pomazańców-rycerzy, waleczących za świętą sprawę ludzkości. Śród najmłodszego pokolenia tylko Strug głębią ukochań i pragnień dorównuje Korczakowi. Wielu można znaleźć bardziej eleganckich „stylowych“, „wymuskanych“, lecz tak kochających człowieka, jak Korczak znaleźć w najmłodszym pokoleniu pisarzy — trudno. Dlatego to Korczak jest mi tak drogim, dlatego to na twórczość jego patrzę jak na dzieło wielkie, dlatego to mierzyć mógłbym miarą taką, jaką stosujemy do najpiękniejszych w narodzie.

Kochać człowieka — to bardzo wiele. Rozumieć swoją miłość i w myśl jej pracować, znaczy wypisywać swoje imię w dziejach ludzkości żywymi zgłoskami. Kto w życiu swoim taką drogę wybrał, wybrał najpiękniejszą wśród wszystkich, jakie istnieją. Być bowiem twórcą dziejów — to znaczy być w panteonie ludzkości, która w swym pochodzie dąży do coraz słoneczniejszych szczy-

tów, do coraz niebotyczniejszych wyżyn.

Kto chce krytykować Korczaka, niech przedtem weźmie w serce swoje jego umiłowanie człowieka, a wtedy dopiero zobaczymy, jaki sąd wyda.

Sąd ten napewno będzie chlubnym; przyniesie bezwątpienia tę prawdę, iż Korczak jest jednym z najpiękniejszych serc. A to jest jego we współczesności moc, powaga, znaczenie. I jeżeli historia „literatury“ pięknej pominie jego nazwisko, ukochania Korczaka życie będą na dłuższą metę; przejdą bowiem w krew organizmu społecznego, staną się w nim częścią konieczną, a to jest szczytem, o którym marzy każdy pisarz.

Eustachy Czekalski.

W głuchej nocy...

*Serce moje było płomienną różą,
co swe tono w czerwcowy dzień rozchyła,
w dzień palący słonecznych żarów burzą,
w dzień ów złoty!..*

*Zgasło słońce! Skonała jasna chwila!
Zwiędła róża lodowym tchem zmrożona...
Zbłądła w jedną bolesną noc tęshnoty
jej korona...*

* * *

*Serce moje jest dziś tą lilją białą,
co przesmutna za szczęściem, gdy skonało,
w wiecznym żalu na cichym grobie stoi
sama... sama!..*

*Słyszysz tylko w cmentarnej pustce swojej
pogrzebnych dzwonów jęk... i płacz sierocy...*

* * *

*Wichry łkają... drży wkrąg rozpaczy gama
w głuchej nocy...*

Ola.

Z mego notatnika.

Pogromca postępu.

Ks. Makarewicz skwapliwie chwyta za pióro, gdy mu się nadarzy sposobność zgromienia postępców. Czyni to zawsze z wielkim tupetem, chociaż występom jego publicystycznym towarzyszy stale niepowodzenie, wynikające stąd, że temperament ks. Makarewicza unosi dalej, niż sięga jego znajomość rzeczy.

Gdyby bowiem ks. Makarewicz orjentował się bardziej w naszych stosunkach, nie użyłby wówczas „Prawdy”—brozury p. J. Gieda, jako bronii przeciwko „szkodnikom“ i „gorszycielom“, którym to mianem zostali przezeń ochrzczeni postępcy. Gdyby ks. Makarewicz posiadał lepiej zorganizowaną służbę wywiadowczą, nie upatrywałby wówczas

we wspomnianej broszurze owocu „roboty planowej i prowadzonej przez kółko osób, znanych — kto poznać chce — z imienia i nazwiska, które systematycznie pracują nad zatrueniem ducha młodzieży i to pod hasłem oświaty“. Gdyby ks. Makarewicz za wszelką cenę nie szukał pretekstu do wyładowania swej złości na postępcach, z łatwością mógłby się przekonać, że autor „Prawdy“, ukrywający się pod pseudonimem J. Gied. z grupą postępcowo demokratyczną nie ma nic wspólnego i do żadnej akcji zorganizowanej nie należy.

Ale mniejsza o dyletancką rozprawę p. J. Gieda, mającą na celu „wyświetlić rzeczywistość religii chrześcijańskiej, dotychczas starannie przez duchowieństwo ukrywanej“. Temat brozury upoważniał najzupełniej ks. Makarewicza do zabrania głosu na szpaltach „Kurjera Litewskiego“ oraz do zaznaczenia z tego powodu swego oburzenia. Nie upoważniał go jednak do fałszywych uogólnień i insynuacji pod adresem postępców, jakoby zadaniem ich było „zachwianie wiary w maluczkich“.

Od polemiki na temat „hipotez Darwina“ — powstrzymuję się. Istotnie, jest to kwestja, w której głos kompetentny mogą mieć tylko ludzie nauki. Tembardziej jednak dziwnem jest wobec tego oświadczenia, uczynionego przez ks. Makarewicza, jego śmiały sąd o „fałszerstwach Haeckia“. — *Ne sutor ultra crepidam...*

Na zakończenie mała uwaga. Ks. Makarewicz z pewną irytacją stwierdza, że miano obskuranta uważane jest za największą hańbę w XX wieku. Istotnie tytuł ten nie przynosi dziś nikomu zaszczytu, ale na pociechę ks. Makarewicza możemy dodać, że pogląd podobny w społeczeństwie naszym datuje się już od wieku XVIII, a mimo to obskurantyzm kwitnie w niem najlepsze, czego dowodem są artykuły ks. Makarewicza w „Kurjerze Litewskim“.

I pod wpływem jakiejś specjalnej nadkultury, chyba tylko w Wilnie znanej — zacytujemy tu trafne spostrzeżenie ks. Makarewicza—ogół milczy i otacza szacunkiem szerzycieli ciemnoty.

Nędza wyjątkowa.

„Nasza „humorystyka“ brukowa jest potężnym czynnikiem stopienia umysłów, spodlenia dusz, zmarnienia ducha społecznego“ — tak dosadnie kiedyś scharakteryzował Leo Belmont prasę humorystyczną warszawską. Cokolwiek dałoby się zarzucić pismom humorystycznym zagranicy, jedno trzeba przyznać, że niema tam „tej lawiny bezmyślności, tej trupiarni humoru, tej powodzi złego smaku, tego niedołęztwa stylizacji, tej lukrecji protekcyjnych pochwał, tych dogryzań tchórzliwych pluskiew, tego niedbalstwa, podniesionego do obowiązującego dogmatu“...

Humorystyka warszawska jednak ma przy najmniej zdolnych karykaturzystów, od czasu do czasu też zdobędzie się na udatny dowcip. Wileńskie jednodniówki humorystyczne raczą nas tylko paszkwilami, którym za tło służy pospolity szantaż. Dowcipu, humoru nie znaleźć w nich ani na lekarstwo, karykatury, o ile nie są „pożyczone“, świadczą jedynie, że rysownik chwycił za ołówek w przystępie *delirium tremens*, mając do czynienia w życiu codziennym z pędzlem golibrody lub kwaczem lakiernika. Ortografja zaś w dodatku zdradza często, że autorowie swą wiedzę w zakresie elementarza polskiego czerpali ze studjów nad szyldami wileńskimi.

Jednodniówek tych ukazało się w Wilnie w ciągu ostatnich kilku lat niezliczone mnóstwo. Bibliograf będzie miał z czasem trudność niemałą z ich skatalogowaniem, ale z całej tej powodzi zasmarowanej bibuły ledwie parę dałoby się wyłowić takich, co mogą wywołać uśmiech na obliczu czytelnika, nie poddawanego jednocześnie operacji usilnego łechtania.

Wszystkiemu zaś winna „Plotka“. Pismo to, którego ukazało się w początkowej redakcji kilka numerów, odznaczających się artystyczną wytwornością pióra i ołówka, dało impuls rozmaitym przedsięwzięciom z pod ciemnej gwiazdy do naśladowania go oczywiście w sposób wysoce nieudolny i niesmaczny. Ponieważ stałe pismo humorystyczne nie mogło się utrzymać, wymagało bowiem pewnego nakładu pracy, myśli i środków, zaczęto w odstępach nieregularnych wydawać jednodniówki, których podstawę stanowią ogłoszenia, a jako uzupełnienie częstochofskie wierszyki i siłaca się na satyrę proza.

I interes idzie. Niewybredna nasza publiczność, stęskniona do śmiechu, rozkupuje te świstki, doznając stale zawodu, ale nie tracąc nadziei, że natrafi wreszcie na istotny dowcip.

Znajduje zaś najczęściej—śmiecie.

Bezwidna humorystyka.

O Litwie, dalibóg, mniej wiem niż o Chinach:
Contitutionel coś raz pisał o litwinach.

Zawiedziony w swych oczekiwaniach czytelniku jednodniówek humorystycznych wileńskich, jeżeli istotnie pragniesz uśmieć się serdecznie, weź do ręki ostatnią powieść Wiktora Gomulickiego p. t. „Na rozłogach białoruskich“. Zaręczam, że się ubawisz wyśmienicie.

Znamy wszyscy swój kraj i nie żywimy względem niego zbytich złudzeń. Wiemy dobrze, jakie typy spotkać można w zapadłych kątkach Litwy i Białejrusi. Ale takich okazów, jakich galerję całą uwiecznił w swej powieści p. Gomulicki, nie oglądał chyba nikt z Was w żywe oczy.

Bo że wszyscy mieszkańcy domów mówią żargonem „tutejszym“—z tem się pogodzić można, że nikt tu nie czyta żadnych książek i gazet—również nie jest nieprawdopodobnem, że jedyny posisek stanowią mleko zsiadłe, wędliny i sucharki—to już zakrawa na drwiny, ale żeby książdź szedł na polowanie w towarzystwie pięciu panien, przynosił jako zdobycz dwie pliszki i skowronka i z tych ptaszków kazał sobie przyrządzać kolację—tego przecież na serjo brać nie można, to szczyt naiwności czy też złośliwej ironji ze strony autora.

P. Gomulicki jest znanym miłośnikiem i piewą dawnej Warszawy, nie wychylającym się bo-daj nigdy poza obręb Starego Miasta. Skąd mu przyszła nagle fantazja opisywania „Rozłogów białoruskich“—trudno pojąć. Przypuszczając należy, że spędził parę tygodni gdzieś na wsi w stronach grodzieńskich i wrażenia swe przelał następnie na papier w powyższym szkicu, chociaż mimowoli budzi się podejrzenie, że autor „Cudnej mieszczki“ patrzył na piaski białoruskie z okien swego mieszkania na Marjensztacie czy Kanonji...

Z całego szeregu przedpotowych postaci, przedstawionych w książce p. Gomulickiego, jedna ma tylko cechy człowieka mniejwięcej cywilizowanego i ta nosi cudaczne nazwisko Szytokryto (?). Ła-

dne pojęcie o naszym kraju będzie miał po przeczytaniu tego utworu warszawianin, który i tak wyobraża sobie, że z Wilna do Mohylowa ludzie chodzą niemal piechotą na spacer, a niedźwiedzie biegają po polach, niby zające.

I dziwić się tu francuzom, że są takimi ignorantami w zakresie geografji, że nie odróżniają Rosji od Polski, a o Litwie mniej wiedzą, niż o Grenlandji! Warszawa pod wielu względami naśladowuje—może bezwiednie—Paryż. Przedewszystkiem odznacza się doskonałą obojętnością względem wszystkiego, co się dzieje poza jej rogatkami, a gdy wykaże zainteresowanie—to można być przekonanym, że uczyni to z zadziwiającą dezinwolturną i wielką pewnością siebie.

Bo wszakże p. Gomulicki traktuje swe dzieło bynajmniej nie jako humoreskę; przeciwnie chce w niem widzieć coś w rodzaju studjum krajoznawczego,—świadczy o tem przedmowa.

Ale rzecz wiadoma, że *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.*

Licz.

Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Wilnie w tygodniu świątecznym rozpoczęła szereg przedstawień pierwsza operetkowa trupa żydowska (w sali t. zw. Filharmonji przy ulicy Nowogrodzkiej). Grywane są sztuki (operetki) oryginalne w żargonie, osnute na charakterystycznym tle mas żydowskich. Wykonanie tak pod względem śpiewu, jak zwłaszcza gry jest dobre, u niektórych artystów znakomite. Dużo scen rodzajowych, charakterystycznych typów świata żydowskiego z rozmaitych warstw jego—barwnie uzupełnia wątek sztuki, w której z wielką plastyką i niepospolitem uczuciem uwydatnione są cierpienia, nędza, głębokie skargi, ale też i królewskie marzenia i tęsknoty „wybranego narodu“.

Żydzi są narodem głęboko zróżniczkowanym tak społecznie, jak kulturalnie. Od finansistów i bogatego mieszczaństwa do szeregów proletariackich i nadewszystko licznego mrowia drobno-handlarskiego, wypełniającego zaułki miast i miasteczek, od sfer inteligienckich, stojących na poziomie kultury europejskiej, do niezliczonych mas pospółstwa, żyjących prastarą tradycją szeregów pokoleń tułających—jak w kalejdoskopie tworzy się obraz barwny, ale już nie obrazek szkła kolorowego, ale tragiczny obraz duszy ludzkiej, nękannej i gwałconej przez wieki, brukanej i w wielu rysach wypaczonyj, zwichniętej, ale przedziwnie żywotnej, rzewnej, tęsknej, w pozorach komizmu nieśmiertelnie jednak hartowanej i dumnej. W sztuce, choćby tylko operetkowej, uwydatnia się ta dusza, czy też te gromady dusz żydowskich w ich rysach najcharakterystyczniejszych, w ich stanie funkcjonalnym na tle uciech, kłopotów, potrzeb, ambicji, tęsknot i t. d.

My, którzy mieszkamy obok żydów, znamy ich przeważnie li tylko z pozorów, z zetknięcia w ramach handlu, doraźnie, okolicznościowo. Sztuka sceniczna jest dla wielu z nas drogą obcowania może jedyną, która nam otworzyć może świat ciekawy i zaiste piękny a barwny Izraela. Żyd nie wyczerpuje się zaiste w czynnościach bankiera, kupca, sklepikarza, adwokata, lekarza; poza czynnościami zawodowemi jest człowiek z jego kulturą psychiczną, z jego światem uczuć, tęsknot i namiętności, wytworzonych przez pokolenia w określonych środowiskach i warunkach bytowania. Dla nieznanomości języka (żargonu) literatura i nawet czysta sztuka sceniczna żydowska są dla nas mało albo wcale niedostępne. Opera wszakże i operetka (operetka nawet z pewnych względów bardziej, niż opera), ułatwia nam obcowanie, bo szerzej, wszechstronniej uzmysławia nam akcję sceniczną, operuje sporym zasobem środków oddziaływania sztuki na zmysły nasze.

Samo wrażenie estetyczne, które dają obecne przedstawienia operetki żydowskiej, robi ją godną widzenia. Byłem tylko na jednym przedstawieniu środowem; grano „Das pinte-te Jid“. O ile zauważyć mogłem, byliśmy na sali śród żydów z moją towarzyszką—chrześcijanką dwoma okazami białych kruków. Przyglądano się nam i okazywano względy sympatji.

Proszę przyjąć etc.

Spectator.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o udzielenie mi kilku wierszy miejsca dla wyjaśnienia przykrej dla mnie sprawy.

Przed kilku dniami pojawiła się w Wilnie jednodniówka „Traba“, o której wydanie, jak słyszę — jestem niesłusznie podejrzewany. Na prośbę redaktora owej jednodniówki, pozwoliłem mu zamieścić reprodukcje dwu karykatur (przedstawiających p. Kamińskiego i mnie, roboty mego brata) oraz wydrukować „Przysłowia-fraszki“ i „Sen kalifa“ (który *nota bene* brzydko okaleczył). Pozatem z rzezonom wydawnictwem nie miałem nic wspólnego. Gdybym zaś był przewidywał, że jednodniówka ta — jak ponieważ się spostrzegłem — służyć będzie nietyle satyrze, ile machinacjom, zakrawającym na szantaż, i tego drobnego udziału stanowczo byłbym odmówił.

Raczej przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego poważania.

Benedykt Hertz.

Odpowiedź specjalście.

Ponieważ p. Szenfeld zarzucił mi publicznie chęć bałamucenia opinii, pod osłoną naukowego tytułu i ponieważ los Góry Zamkowej nie został ostatecznie rozstrzygnięty, uważam za stosowne powrócić raz jeszcze do tego tematu.

Przedewszystkiem c) do kompetencji. Rozciągnę to dość pojęcie „specjalista“. Ma prawo uważać się za specjalistę taki naprzykład Lindley — twórca warszawskiego i wielu innych wodociągów. Uważają się za specjalistów również inżynierowie, kierownicy biur techniczno-wodociagowych. Z innej znowu strony każdy prawie technik, pracujący czy to w fabryce, czy na kolei — ma możność obznajomienia się, na mniejszą może skalę, z zasadami budowy i eksploatacji wodociągów.

A że czasami i specjalistom trafia się strześcić baka, jak to się stało z poprzednikami p. Szenfelda, twórcami pierwotnego projektu wileńskiego wodociągu, który został tak bezlitośnie przez niego skrytykowanym, — więc odrzucimy to słowo „specjalista“, a bądźmy tylko w zgodzie z logiką i prawdą.

Znalazł p. Szenfeld w mojem pisaniu „błędy, niedokładności i humorystykę“.

1) Powołując się na urządzenia w Warszawie i Kijowie, twierdziłem, że centralne położenie zbiornika nie jest koniecznem. Tezy tej bronł p. Szenfeld tak energicznie, że groził nawet zbudowaniem brzydkiej wieży ciśnień na placu Katedralnym albo w ogrodzie Botanicznym („Przegi. Wil.“ № 8). Obecnie p. Szenfeld zgadza się, że nie jest to koniecznem, ale szeroko się rozwodzi nad nieekonomicznością eksploatacji, czego wcale nie kwestjonowałem.

Przykład Kijowa dotychczas uważam za zupełnie trafny: 1) dolna część miasta (Padół) otrzymuje wodę ze zbiornika na górze Michajłowskiego monasteru. Pompy leżą nad brzegiem Dniepru, mając zbiornik „poza plecami“, t. j. tak, jak według p. Szenfelda zbiorników nie stawia się; b) średni poziom (Kreszczatyk, Wasilkowska) posiłkują się rezerwoarem w Carskim Sadzie i regulującym zbiornikiem na Peczersku; c) górne miasto — bierze wodę z 3-ch wieżyc, zbudowanych obok wspomnianych wyżej rezerwoarów, nad Dnieprem. Wszystkie poza terenem swojej strefy. Gdzie się znajdują owe zbiorniki, które „stawiano śród zabudowanych dzielnic“? W Warszawie, o ile poznałem jej urządzenia, dolna część miasta otrzymywała wodę z rezerwoarów na Koszykach. Pan Szen-

feld kategorycznie zaprzecza istnienia jakichbądź rezerwoarów, ponieważ cała Warszawa z Pragą ma się zasilac wodą z owej wieży o 4-ch rurach. Jeżeli tak jest istotnie — to na Warszawę powoływałem się „najniesłuszniej“...

2) Oponowałem przeciwko liczbie 300,000 rb., podanej przez p. Sz. jako zwiększanie kosztów na sam tylko teren. W odpowiedzi figuruje liczba 100,000 rb., już razem ze zwiększeniem kosztów budowy i terenem. Dało się więc utargować 200,000 rb. W ten sposób chciałyby jaknajczęściej wprowadzać w błąd publiczność. Co do sprawy, czy można wywłaszczać tereny, znajdujące się w procesie sądowym, pożądanemby było wypozyczenie się któregoś z kompetentnych wileńskich prawników. Przy budowie kolei żelaznych — wywłaszczają wszelkie spotkane tereny, nie czekając aż jedna strona sprocessuje drugą.

A teraz co do „humorystyki“, według p. Sz.

O ile mi wiadomo, zasada wileńskiego wodociągu ma być użycie artezyjskiej, niefiltrowanej wody. Powołując się na przykład warszawskich zbiorników *rzecznej filtrowanej* wody, za absurd uważa p. Sz. moje przypuszczenia o osadach. Wyrażając się stylem p. Sz. powiedziałabym: „gdzie Rzym a gdzie Krym“, bo analogji prawie żadnej. Byłoby trafniej wskazać na analizę tej wody, które to dane łatwo będzie znaleźć gdzieś w archiwum miejskiem, w pracach Januszewskiego i Hejdenrejcha, sumiennie prowadzonych w latach 1893—98. Nie mając pod ręką tych danych, nie mogę kategorycznie twierdzić, że *wileńska* woda będzie osadzać muł — ale że „*artezyjska*“ nie znaczy to samo, co „czysta“ wskażę na dwa przykłady. W Elisawetgradzie zbudowano wodociąg z zastępowaniem artezyjskiej wody z filtrami, nie dlatego chyba, ażeby w ciągu kilkunastu lat odfiltrować kubek błota, jak chce p. Sz.

W Kijowie, dodając artezyjską wodę do rzecznej, dolewano ją *przed filtrem*. Może dlatego, żeby obciążyć pracę filtrów?

Dalej imponuje p. Szenfeld takimi najnowszymi zdobyczami techniki wodociągowo-sygnalizacyjnej, jak barometry (?) manometry, dzwonki elektryczne. Prościejby było wskazać, czy połączenie dzwonek odbędzie się za pomocą szeregu słupów, do zawieszenia drutów, czy też podziemnego kablu.

Szczególny nacisk kładzie p. Sz. na wysokość ciśnienia w rurach, w obrębie Góry Zamkowej, ośmieszając moje przypuszczenia o możliwym pęknięciu rury albo rezerwoaru. Stąd można wywnioskować, że panu Sz. wiadome są wypadki pęknięcia rur tylko z powodu wysokiego ciśnienia, a może i t. z. uderzenia hydraulicznego. W wodociągowej praktyce znane jest ogólnie zjawisko wiosennego i jesiennego pęknięcia rur, niezależnie od ciśnienia, a spowodowanego dyslokacją gruntu, pod wpływem zmian temperatury. W literaturze znany jest klasyczny wypadek pęknięcia wylotowej rury, przy samym rezerwoarze, pod ciśnieniem *wyraźnie paru metrów* wody, po kilkunastoletniej pracy (w Nowocerkasku). Wspomniałem również o możliwym pęknięciu zbiornika. Temu nie zaprzeczono, dlatego zapewne, że sprawa petersburskich filtrów zbyt już jest głośną. Co do owych „wiecznych źródeł“ w Kijowie, które spowodowały spełzanie góry, to o ile przypominam, ekspertyza właśnie dowiodła, że pochodzą one z pęknięć w zbiorniku wodociagowym.

Na zastosowanie jednej strefy ciśnienia nie zwróciłem uwagi dla tej przyczyny, dla której

i p. Sz. zauważył ten błąd dopiero po przyjeździe do Wilna i rozejrzeniu się w projektach: ja żadnych projektów nie rozpatrywałem. Przed 15 laty, kiedy w Radzie miejskiej toczyła się walka pomiędzy zwolennikami urzędzenia wodociągów z jednej strony i elektrycznego oświetlenia z drugiej — i były zbierane materiały do projektowania, — w ówczesnym Zarządzie miejskim i w sferach technicznych panowało zdanie, że Wilno posiada *typowy teren dla dwóch poziomów*. Był nawet sporządzony szkicowy projekt w tym sensie — a z wyłączeniem Góry Zamkowej. Ale następnie zjawili się specjaliści, którzy potrafili przekonać, że tak nie jest, a Zarząd miejski, rzecz prosta, zawsze się zgadza ze specjalistami.

Karol Klukowski.

PRASA POLSKA.

— Rozdzwięk pomiędzy warszawskim postępem a skrajną lewicą, rozbrzmiewający coraz głośniej, wywoła, zdaje się, skutek nieoczekiwany, przekształci bowiem zasadnicze podstawy ideologiczne postępowców. Ta opierała się dotychczas na uznaniu przodującej roli klasy robotniczej w życiu narodowym. Obecnie skutkiem nieufnej, a nawet wrogiej postawy przedstawicieli proletariatu względem roboty postępowców, daje się zauważyć wyraźna zmiana w zapatrywaniach na znaczenie różnych czynników społecznych.

W artykule wstępnym ostatniego numeru (14) „Prawda” występuje ostro przeciwko dogmatowi „poczytywania fabryki za typ, według którego kształtują się stosunki ekonomiczne w społeczeństwie polskim”, przeciwko poglądom marksistów, uważającym „garść proletariatu fabrycznego, stanowiącą drobny zaledwie ułamek narodu, za jedyne żywotną ruiń, z której wykłócić się ma złota przyszłość Polski”.

„Prawda” natomiast powiada:

„Uświadomienie tudzież podniesienie ekonomiczne i społeczne robotnika polskiego leży nam na sercu, jako demokratom, pragnącym nowy żywioł zjednać dla kultury, i jako polakom, usiłującym, świeżą kulturę wnieść do narodu. Ale właśnie świadomość tego obszaru prac samokształcenia, jaki leży przed robotnikiem, prace, które on podjąć musi koło siebie i nad sobą przedewszystkiem, powstrzymując nas od obarczenia go powinnościami nadmiernymi.

„Od mroku żałoby, w którym żyjemy obecnie, kartę dziejów naszych odwrócić może ku słonecznej stronie nie kilkaset tysięcy robotników fabrycznych, ale jedynie dziesięćkroć potężniejsza rzesza włościanstwa rolnego.

Robotnik, dziś zatrudniony przy warsztacie fabrycznym, jutro znaleźć się może na bruku, pojutrze zawędruje za zarobkiem aż po Ural, za Don, daleko poza progi ojczyste, na obce lądy, poza obce morza.

Inaczej włościanin. Na roli swej zagospodarowany. Nie wysadzi go z ojcowizny siła bylejaka. Twardo wrosł on w zagon rodzinny z dziada-pradziada. Trzeba wściekłego wichru, albo siły pioruna, ażeby z korzeniem wyrwać go z ziemi. Ma on swą zagrodę, swą udziałną skibę, na której jest panem. Ona go wyżywi, ona stworzy dlań podstawę samodzielności. Na niej obwaruje on swą nietykalność, swą niezależność wobec środowiska, wobec władzy świeckiej i duchownej. Poszanowanie własności, jak słusznie zauważył Proudhon, żyjące w duszy włościanina, staje się podłożem, z którego wyrośnie w nim ceść dla indywidualności, kult jaźni, odrębność duchowa i przeświadczenie o jej wartości.

W naszych warunkach obecnych robotnik, zależny w znacznej mierze od fluktuacji niemieckiego, belgijskiego lub szwedzkiego kapitału, jest żywiołem lotnym, gdy

natomiast włościanin, osiadły na glebie, przedstawia żywioł stały, niezależny, samostarczalny pod względem ekonomicznym, a przeto dojrzały dla samodzielności duchowej”.

Ten dość nieoczekiwany zwrot od proletariatu w stronę drobnej własności, charakterystyczny dla grupy liberalnej, nie uznającej stanowiska klasowego, spotkał się z wielkim uznaniem „Głosu Warszawskiego”.

Organ p. Dmowskiego słusznie stwierdza, że poglądy, wygłaszane obecnie przez „Prawdę”, trzydzieści lat temu już były wypowiedziane przez ludowców z „Głosu”, a Demokracja Narodowa niejednokrotnie również zaznaczała, że „nie fabrykę, ale wieś polską, zagrodę chłopską uważamy za podścielisko, w której zakiełkuje ziarno przodownictwa kulturalnego w Polsce ludowej”. Powód ewolucji powyższej postępowców „Głos Warszawski” upatruje w

„nadziei znalezienia oparcia wśród włościan, jaka zaświatała wraz z powstaniem organizacji kółek Śląszica. Nadzieja ta otworzyła im oczy na znaczenie warstwy włościańskiej i kazała im zmienić złe maskowaną pogardę dawniejszą dla „pełnego zabobonów chłopca” na uznanie jego ważkiej w społeczeństwie roli”.

Czy jednak zwrot ten, wywołany przez niesnaski partyjne, podyktowany przez zrozumiiałe zniechęcenie do doktrynerstwa i bezwzględności skrajnej lewicy — będzie trwałe, wydaje się to nam mocno wątpliwem. Bądź co bądź ideologia postępu demokratycznego musi się opierać na masach wydziedziczonych, żadnych zmiany istniejących stosunków, a przez to ulegających łatwiej wpływowi nowych idei. Włościanin zaś zawsze jest bardziej oporny i nieufny względem wszelkich innowacji.

— W „Kulturze Polskiej”, redagowanej przez Al. Świętochowskiego, czytamy w artykule wstępnym p. t. „Gasnąca kultura polska”:

„Trzy dzielnice rozebranej Polski pod trzema rządami ukształtowały się odmiennie. Królestwo okazało największą żywotność duchową, Galicja — największe pojęcie polityczne, Poznańskie — najsprawniejszą zdolność ekonomiczną. Zależnie od warunków i zdarzeń każda z tych dzielnic ulega różnorodnym zmianom, a zwłaszcza Galicja, która długo stanowiła ostatnie miejsce w rozwoju, zaczęła posuwać się szybko naprzód. Najślabszy ruch kulturalny objawił się w Poznańskim. Doprowadziło ono sztukę i umiejętność gospodarczą do tak wielkiej doskonałości, że mierzyć się może z najbardziej rozwiniętymi w tym kierunku krajami, średnia cena dobrej ziemi dochodzi tam do 15 tysięcy rubli za włokę; mimo to zarówno obszarnicy, jak chłopci, potrafią z niej wyciągnąć rentę, stanowiącą dostateczny procent od tej ceny. Włościanie wielkopolscy zaliczają się do najdoskonalszych typów tego stanu w Europie; ziemianie folwarczni zaś gospodarują tak mądrze i produktywnie, że tutejsi dorównują im tylko w bardzo nielicznych wyjątkach. I gdyby człowiek żył samym tylko chlebem, polacy w zaborze pruskim byłiby kwiatem swego narodu. Ale jest jeszcze duch, który dopomina się o swoje prawa.

Otóż pod tym względem Poznańskie stoi na najniższym poziomie wśród prowincji polskich; jest ono prerażająco zmaterjalizowane i obojętne na potrzeby ogółu. Nie wiemy dokładnie, ile Królestwo złożyło w banku ziemskim; to wszakże pewne, że złożyło ono miliony marek. Tymczasem Wielkopolska nie śpieszy nigdy z obfitszymi zasilkami żadnej naszej potrzebie i niepodobna wyobrazić sobie takiej sprawy publicznej, któraby ją pobudziła do większej ofiarności. U nas obywatela kraju za życia i po śmierci ciągle składają dary ojczyźnie, tam miljonierzy umierają, nie pozostawiając dla niej szeląga. Pisma nasze ciągle zwracają uwagę na to skostnienie dusz. Na dar Grunwaldzki — przypomina „Nowa Gazeta” — biedna stosunkowo Galicja wpłaciła pół miliona koron, Poznańskie — dwadzieścia tysięcy marek.

Tegoroczne wybory do parlamentu zakończyły się klęską polaków na Śląsku, bo żałowano na nie wy

datków, bo one stanowiły tylko „niepożądaną przerwę w pracy ekonomicznej“. Ostateczny rachunek z życia tej dziedziny wypada bardzo smutnie. Więcej, niż połowa ziemi stracona, duch narodowy osłabiony, język skażony, niema tam ani literatury, ani sztuki i nauki, są tylko pełne śpichrze i komory.

Ten fakt świadczy dowodnie, co warte są frazesy o zgubnym wpływie pewnych zasad teoretycznych na rozwój społeczeństwa — zwłaszcza, co warte są papierowe gromy, rzucane na pozytywistów z przed 40 laty. Głosili oni swoje poglądy w Warszawie — i Królestwo Polskie pozostało w nastroju idealistycznym, a przynajmniej w silnym pobudzeniu duchowym. Tymczasem chociaż pozytywizm nawet najślabszą plonką nie zaszczerpił się w Poznańskim, zmaterializowało się ono we wszystkich warstwach.

Niedość tego. Jest to dzielnica najbardziej owładnięta przez duchowieństwo i klerykalna, pomimo to, najbardziej dba o ciało i dobra doczesne. Jeżeli nawet myśli o zbawieniu swej duszy, to wyłącznie w odniesieniu do życia zagrobowego.

Gdybyśmy szukali przyczyny martwoty Poznańskiego, niewątpliwie, za jeden z najważniejszych należałoby uznać duszący nacisk wyższej kultury niemieckiej, której polska oprzeć się nie może. Ponieważ zaś ten stosunek trwać będzie dalej, trudno oczekiwać pomyslniej zmiany. Ten brak nadziei, łącznie z utratą ziemi, tworzy ciężką chmurę na widnokręgu przyszłości. Wielkopolska ginie dla narodu polskiego, bo z niej uleciała dusza, opuściły ją moce twórcze, pozostał w niej tylko instykt samozachowawczy niższego rzędu, żyje tam wysoka kultura materialna, europejska, ale konaduchowa i polska“.

Zaznaczyć należy, że nie po raz pierwszy odzywają się podobne głosy alarmujące. Sami poznający, oczywiście, bardziej krytyczni, z rozpaczą konstatują ten smutny stan rzeczy. Sprawa więc jest doniosła i wymaga pilnych środków zaradczych.

Korespondencje.

Mińsk.

Mińsk należy do większych środowisk Litwy i Białej Rusi. Miasto handlowe, ożywione, posiada specjalne warunki: jest ośrodkiem najbogatszej gubernji, gdzie ziemiaństwo polskie gospodaruje bodaj najintensywniej z całej Białej Rusi. Kraj ten bogaty w lasy ześrodkował cały handel leśny w Mińsku, skoncentrował się tu również handel produktami rolnymi i maszynami oraz artykułami rolnictwa.

Oczywiście, iż równoległe z rozwojem rolnictwa (a trzeba dodać, iż obszar samej jedynie gubernji mińskiej wynosi 8,000,000 dziesięcin), — począł rozwijać się i przemysł miejscowy. Mińsk więc, jako centrum handlowo-przemysłowe począł wzrastać. Większość ludności naszego miasta stanowią żydzi — najruchliwszy, choć nie najzdolniejszy element w handlu, następnie rosjanie, urzędnicy, przeważnie instytucji państwowych i kolejowi — oraz polacy.

Mamy więc trzy narodowości, z których każda żyje życiem odrębnym.

Element rosyjski jeszcze od czasów osławionego Szmidta stanowi czarnoseciną armję i jest zaciętym wrogiem polskości.

Jesteśmy w tych właśnie warunkach, gdzie prawo starannie a systematycznie jest omijane przez sfery rządzące miejscowe, jeśli to dotyczy Polaków (napisy polskie na szyldach, pozwolenia na odczyty, początkowe prywatne nauczanie) gdzie istnieją jedyne w Rosji całej pismo „Mińskoje Słowo“, stale urządzające naganę na Polaków i wszystko co polskie i posługujące się kłamstwem,

przekręcaniem faktów historycznych, jaką jedyną metodą.

Żydzi są mocno zrusyfikowani i rusyfikują miasto ciągle. O potrzebach swych kulturalnych pamiętają i żywą rozwinęli w tym względzie działalność.

Powstało dzięki zrzeszonej i solidarnej inicjatywie tudzież pracy wspólnej sporo instytucji społecznych żydowskich, szkół początkowych, biur informacyjnych i t. p. Urządzane są stale odczyty przez wybitnych postępowych prelegentów rosyjskich, koncerty, wieczory wspólne.

W tym wszystkim czynnik narodowościowy gra poważną rolę: prześladowania z jednej strony wywołują solidarną odporność i dążność do zrzeszania się, z drugiej — interes ekonomiczny i tendencje centralistyczne — specjalną lojalność i ciążenie do kultury rosyjskiej. Trzeba przyznać, że najintensywniej życie płynie wśród Żydów. Stowarzyszenia iście rosyjskie i ich działalność nie mają specjalnej programowości; prócz politycznych wyiskoków żadnej tu kulturalnej roboty nie uprawiają.

W tych warunkach życie polskie powinno rozwijać się silnie, żywo i programowo.

Prawda, że są na każdym kroku trudności, prawda, że trzeba wysiłków i dużego uspołecznienia, ale to wszak stanowi nasz obowiązek, nasze zadania i cele.

Inteligencja zawodowa, obywatele miejscy starają się wytworzyć jakiejś ośrodki życia, idzie to jednak bardzo ospale, gdyż właśnie odczuć się daje brak jasno wytkniętego kierunku w rozwoju zrzeszonego życia. I jeśli programowość ta była na początku powstania naszych instytucji, to z czasem powoli wykołajała się, że tak powiemy, — i życie zrzeszone płynęło wiegatatywnie zaledwie, nosząc częściej znamiona towarzyskiego, niż społecznego życia.

Gdyby więc nie było całkowicie warunków dla stworzenia życia szerszego, mocniejszego, nie narzekalibyśmy na uśpienie instytucji, — skoro są tylko trudności, należy dołożyć wszelkich starań dla pokonania ich.

Rozumie się, że w takich warunkach wszelka krytyka działalności instytucji naszych, prześladowanych lub tolerowanych zaledwie przez władze, — i to w dodatku krytyka ze stanowiska postępowego, bodajby najszczerza i najślusniejsza, będzie uważana za wrogię stanowisko względem własnych spraw.

Taki pogląd jednak nie jest racjonalny. Właśnie dlatego, że jesteście w wyjątkowych warunkach, że najwyższym pożądaniem żywołów dla nas wrogich byłaby nasza bezczynność, — powinniśmy silną zrzeszoną iść naprzód masą. I iść programowo.

Trudno wszak podtrzymywać i tak dostatecznie rozpowszechnioną adoracyjność wzajemną, trudno nie widzieć tych słabych stron i nieodpowiednich czynów jedynie dlatego, że to są nasze instytucje. Ta właśnie cichość działania, to zwalanie całkowite pracy na barki zarządów może jest najgorsze, gdyż oddala zrzeszone siły od czynnego udziału w życiu zbiorowym.

W takich wypadkach musi następować różniczkowanie poglądów, musi budzić się myśl niezależna i to jest właśnie dodatnim objawem.

Prasa ma za zadanie budzić myśl, wskazywać drogi i prasa powinna urabiać opinię ogółu.

Tymczasem wszelka krytyka wywołuje zwykle wyraźną niechęć, a pismo, które nie chce być

bezwzględnie oportunistycznym, obciąża zarzut, że występuje przeciwko interesom narodowym. Nic fałszywego. Przeciwnie sądzimy, że wykazywanie wad i braków, usiłowanie skierowania działalności zrzeszonej na tory racjonalne mogą jedynie sprzyjać rozwojowi naszej kultury i sanacji stosunków.

Będziemy więc i nadal uważali za swój obowiązek bezstronnie, szczerze i odważnie wypowiadać swe poglądy na sprawy społeczne i bez obawy wskazywać na dające się dotkliwie odczuwać niedomagania.

Chcemy wszak jedynie dobra kraju naszego, jesteśmy przyjaciółmi wszelkich zapoczątkowań kulturalnych, które z zacofania wyciągnąć nasze życie pragną, chcemy iść naprzód ku lepszej, jaśniejszej przyszłości.

Tego nam brać za złe nie wolno.

Leszek Czarny.

NA WIDNOKRĘGU.

Cesarz Wilhelm przed świętami odbył dłuższą podróż. Druty telegraficzne przynosiły coraz to nowe wiadomości o „spacerze“ wiecznie jeżdżącego monarchy. Niemcy dali mu już przydomek „der reisende König“.

Podróż, która teraz zajęła prasę europejską miała charakter polityczny, choć rozmaici wtajemniczeni dyplomaci zapewniają, że jest prywatną sprawą Wilhelma. Droga jednak, jaką odbył, postój w Wiedniu, a następnie spotkanie w Wenecji—świadczą, że wszystkie te czułe zapewnienia w miłości dynastji Hohenzollernów i Habsburgów nie znaczą wobec akcji kolei Bagdadzkiej, wobec interesów na półwyspie bałkańskim, wobec zbrojeń angielskich i toczącej się wojny włosko-tureckiej.

W „Now. Wremia“ i w innych pismach ukazała się wiadomość o zawarciu porozumienia w sprawach bałkańskich, a zwłaszcza albańskich między Włochami a Rosją. Pogłosce tej urzędowo zaprzeczono. W kwestji albańskiej, jak przypominają półurzędowa Agencja Stefaniego, istnieje układ włosko-austriacki z r. 1897. W Racconigi stwierdzono, że Rosja i Włochy dążą do utrzymania *status quo* na Bałkanach „Now. Wremia“ projektuje wycieczki polityków i posłów do Włoch i Rosji. Historyk Guglielmo Ferri pisze w „Tribunie, że opinia włoska, nieprzychylnie dawniej usposobiona dla polityki wewnętrznej rządu rosyjskiego, zrozumiiała, iż między Włochami a Rosją istnieje pewna wspólność interesów. Rosja ma wobec Turcji większą swobodę postępowania, niż inne mocarstwa, związane z nią interesami ekonomicznymi. Włochy nie mogą uzależniać swej polityki przyjacielskiej względem Rosji od ostatecznego zwycięstwa liberalizmu.

W prasie niemieckiej ponowiły się pogłoski o ustąpieniu niemieckiego kierownika polityki zagranicznej Kiderlen-Waechtera. Następcą jego byłby ambasador w Waszyngtonie, hr. Bernstorff, Kiderlen-Waechter zaś zostałby posłem w Konstantynopolu na miejsce barona Marschalla.

Przedstawiciele mocarstw w Konstantynopolu zamierzają w dniach najbliższych zwrócić się do rządu tureckiego z prośbą o oświadczenie, pod jakimi warunkami zgodziłby się na zawarcie pokoju. Akcja mocarstw w tym kierunku rozpocznie

się bezpośrednio po przybyciu nowego ambasadora rosyjskiego Giersa do Konstantynopola. W akcji tej wezmą udział oprócz Rosji, Anglija, Francja, Niemcy i Austria.

Bawiący w Berlinie senator turecki Bostoni oświadczył, że Turcja mogłaby zgodzić się jedynie na pewne ustępstwa gospodarcze Włoch w Trypolitanji, ale nie odstąpi w żadnym wypadku ani skrawka ziemi. Z drugiej jednak strony donoszą z Konstantynopola, że komitet młodoturecki w razie wielkiego zwycięstwa w wyborach do parlamentu, okaże się więcej skłonny do kompromisowego zakończenia wojny. Do tej pory wybory dały wyniki bardzo dla komitetu korzystne. Wybrano wyłącznie młodoturków i przypuszczają, że komitet będzie rozporządzał w parlamencie olbrzymią większością.

Strejk węglowy w Anglii ma się ku końcowi. W sobotę ubiegłą odbyła się w Londynie konferencja, na którą przybyło 150 delegatów ze wszystkich stron Wielkiej Brytanji. Przedstawiali oni 634 głosów poszczególnych związków robotniczych. Głosy na sobotniej konferencji rozpadły się w ten sposób, że 440 głosów wypowiedziało się za powrotem do pracy, a 125 przeciw. Strejk zatem jest oficjalnie ukończony i praca na nowo we wszystkich okręgach powinna być podjęta w czasie najbliższym. Ale burzliwe zebrania w różnych okręgach czynią widoki spokojnego zakończenia strejku wątpliwymi. Aż dotąd pracuje 70,000 robotników. W okręgach północnych Lancashire, Jorkshire, Durhan i w Szkocji robotnicy postanowili dopiero wtedy powrócić do pracy, gdy ich żądania o płacy minimalnej zostaną uwzględnione.

W Naramowicach w W. ks. Poznańskim odbył się zjazd socjalistów polskich z całych Niemiec. Na zjeździe uchwalono potępić dążności demokratyczno-narodowe, zażądano religijnego odseparowania od Niemców oraz wyłączenia agitacji na Śląsku.

Luźne uwagi.

✱ **Trop de zèle.** Miesięcznik „Litwa i Ruś“, wychodzący zamiast dawnego „Kwartalnika Litewskiego“, zamieścił szkic o Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Wilnie, w chwalebny i prawdopodobnie zamiarze spopularyzowania tego kulturalnego stowarzyszenia.

Pomijając pewne niedokładności tendencyjne w przedstawieniu historii powstania i rozwoju Towarzystwa, zarzucić należy artykułowi wysoce niesmaczny ton pochlebny w stosunku do pewnych osób, cieszących się względami anonimowego autora. Czytamy tam, między innymi, co następuje:

„Gdy więc pierwszym projektodawcą był mec. Parzewski, cały ogrom pracy organizacyjnej spadł na barki d-ra Zahorskiego. Jego niestrudzonej energii w pierwszym rządzie zawdzięcza społeczeństwo nasze powstanie Towarzystwa, jest to zasługa, która stawia nazwisko d-ra Zahorskiego obok Eustachego Tyszkiewicza i innych zasłużonych działaczy wileńskich, która zapewnia mu zaszczytne miejsce w przyszłej historii kulturalnego rozwoju Litwy.

„Cześć dzielnemu pracownikowi na niwie oświaty ojczystej“.

Nikt nie może odmówić dr. med. Zahorskiemu dobrych chęci i zamiłowania do badań przeszłości Wilna, ale stawianie go narówni z Eustachym Tyszkiewiczem i roztaczanie podobnie przesadzonych pochlebstw, ośmiesza tylko autora Przewodnika po Wilnie, oraz kilku innych monografji o charakte-

rze kompilacyjnym. Poczucie miary jest bardzo cenną właściwością, której brak rażąco daje się odczuć w wydawnictwie p. Obsta. A jednocześnie o dr. filozofji Kościalkowskim, *jedynej* na naszym gruncie poważnej, nie dyletanckiej, siły naukowej, ten sam autor wyraża się łaskawie: „młody uczony, pełen szczerego zapału i miłości dla wiedzy ojczystej”. Zabawne jest to protekcyjne klepanie po ramieniu prof. Kościalkowskiego przez jakiegoś grafomana!

✳ **Bezpodstawa insynuacja.** Poraz wtóry zmuszeni jesteśmy zanotować nietaktowne zachowanie się „Tygodnika Ilustrowanego” w stosunku do litwinów. W ostatnim numerze pismo to, podając wizerunek Góry Zamkowej w Wilnie i opisując zatarg opinii publicznej z Zarządem miejskim o ocalenie Góry od profanacji, zaznacza, że z profetem również wystąpiło Litewskie Towarzystwo Naukowe oraz nacjonałiści rosyjscy i czyni od siebie uwagę, że zarówno litwinów mało obchodzi pamięć Giedymina, jak nacjonalistów rosyjskich ks. Myszeckij. Na jakiej podstawie „Tygodnik Ilustrowany” kwestjonuje szczerotę uczuć patriotów litewskich? Co go upoważnia do porównywania ich z intencjami politycznymi naszych rusyfikatorów? Litewskie Towarzystwo Naukowe nie składa się jedynie z nacjonalistów i nie mamy żadnego powodu przypisywać tym wszystkim, którzy złożyli swe podpisy na proteście, jakichś postronnych tendencji, prócz chęci zachowania w całości zabytku przeszłości. Być może szwiniści litewscy chcieli wyzyskać sposobność do wycieczek antypolskich, ale nie wolno czynić za nich odpowiedzialnej całej instytucji, z polityką nie mającej nic wspólnego. Z Warszawy może trudno dostrzec te różnice, ale też trzeba być bardzo ostrożnym w wydawaniu sądu o naszych stosunkach, by nie popełnić tego rodzaju nietaktów.

✳ **Hałaśliwa dzwonnica.** Jakiś „Weredyk” w „Gazecie Codziennej”, wyekspensowawszy cały swój olej w Wielkim Poście, urządził, jak przystało w tygodniu świątecznym, ze swej głowy dzwonnice i dalejże sypać słowami dźwięcznymi a bez związku: bim... bam, bim... bam! Postępowcy, wolnomyślni, bluźniercy, Sołoniewicz, Siewiero-Zapadnaja Zizú, spółka sołoniewiczowsko-postępowa i t. p. Bim... bam, bim... bam... Wpada w ucho uderzenie mocniejsze: p. Niemojewski — to „polski Puryszkiewicz!” Czemu? Czy dlatego, że jest również antysemitą? czy dlatego, że odsiadując za swe przekonania twierdzą, nie może reagować na obraźliwe porównania? Któż od dzwonnicy może wymagać odpowiedzi? Donośnie się rozlega dzwonenie „Weredyka”, aż zagłusza całkiem hymn, śpiewany w dniu Zmartwychwstania, na szpaltaach tejże gazetki:

„Ze szczytów wież świątyni naszych poważne i uroczyste nad ziemią płyną dźwięki, jakby podzwonne potęgą ciemności—nienawiści, zniszczeniu, śmierci, a tryumfem rozgłośnym światła—miłości, nadziei, życia”.

Niestety, tak dzwonią tylko dzwony spiżowe, ludzkie brzmia w innym tonie...

✳ **Solidarność wielkanocna.** Feljetonista „Dziennika Kijowskiego” wypowiada nie pozbawione zgryźliwego humoru uwagi:

„Tegoroczne święta odbyliśmy z rodakami wszystkich dzielnic—wspólnie.

Unanimiter zgromadziliśmy się razem dokoła wspólnego celu...

Połączył nas w jedną „zajedzoną” całość brząk talerzy, wystrzał korków, i ów chrzan tradycyjny, który małym nierogatym męczennikom gorycz i cierpkosć ich żywota nawet po... upieczeniu przypomina.

Stała się tedy rzecz dziwna i niesłychana: polacy połączyli się tak doskonale, że dawno już równie rozezulającego a powszechnego zbratania się żywiołów „niepokojących” legalizm europejski nie oglądał.

Byłoby to nawet prawie rewolucją, gdyby nie było tak sielankowem, dobrodusznem i spiżarnianem.

Rewolucja wszakże ogarnęła jeno... brzuchy, kurniki, piwnice i chlewnie... Prawdziwą wiosnę przypominała tylko „prawdziwa” rzodkiewka... inspektowa. A niejedno biuro dy-

plomacyjne nad praktycznym rozwiązaniem kwestji polskiej pracujące, taką oto prawdę w archiwach swych tajnych zanotowało: — „Polska je i cicho siedzi...”

I w samej rzeczy Polska—jadła.

Jak długa i szeroka, od końca swego do końca najadła się cicho i zgodnie, kalendarz bowiem chciał, aby indyk, prosię, cielęcina, węgrzyn praojcowski i tak zwane „baby” (...w ogromnej ciszy pieców zamkniętych wyrosłe, lekkie, pulchne, dorodne i słodkie) w jednym i tym samym dniu nad idealnym państwem brzuchów polskich i wszelkiego wogóle „łakomstwa” naszego—zapanowały.

Ustalił się zatem... nie nowy wprawdzie pewnik... Znalazło się takie „coś”, dokoła którego wszysey polacy bez obawy „następstw” zjednoczyć się mają prawo. A w tem „czemś” znajdzie się i galanterja dla dam, i indycza a nieszkodliwa fantazja, i cielęca beztroska, i uwielbienie dla tłustych potciów swojskiej kuchni, *ad majorem gloriam* europejskiego spokoju obficie marmazją oblewanej”.

Sprostowanie.

Do artykułu p. E. Czekalskiego p. t. „Janusz Korczak” w № 13 „Przeglądu Wileńskiego” wkradło się parę błędów, które niniejszem prostujemy: w 1-y m wierszu należy czytać „na firmamencie”, zamiast „na parlamencie” oraz w 12-y m wierszu szpalta I, str. II — „sztuka dogadzana”, a nie „drgawka”.

Treść numeru.

Zastrzeżenia — M. Röm era.

Optymiści — B. H.

Ewolucja form własności ziemskiej i ruch kooperacyjny — Z. Kuncewicza.

Pamięci Hercena — a.

Ze wspomnień Hercena o polakach.

Z życia litewskiego — M. B.

Janusz Korczak — E. Czekalskiego.

W głuchej nocy (wiersz) — Oli.

Z mego notatnika — Licza.

Odpowiedź specjaliście—K. Klukowski.

Listy do redakcji, Prasa polska, Korespondencje,

Na widnokregu, Luźne uwagi.

Odcinek: Ostatnie Natchnienie — J. Żarskiego.

ODCZYT

o

Zygmuncie Krasińskim

wygłosi

Wacław Makowski

we czwartek 5 kwietnia w Wilnie

w Sali klubu Szlacheckiego

Początek o godz. 8 wieczorem.

Bilety do nabycia w księgarni W. Makowskiego. Ceny miejsc: 1-szy i 2 rząd—1 rb., 3 i 4 rząd — 75 kop., 5 i 6 rząd — 60 k. ostatnie rzędy—50 kop.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“
tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem.

JAJA!

do wylegania. Od konchinchiińskich 5 rb., Brama 8 rb. 50 k Langechamp 3 r. 50 k., Pilmonthrock 3 rb. 50 k., Vlandote 3 rub., Orphingtone 4 rub., Krewker 5 rb., Gougane 3 rb. 50 k., Hambursk. 3 rb., Andaluz. 3 r. 50 k., Włosk. 3 rb., Minorek 3 rb., bronzowych indywek 7 rb., kaczek pekińskich i rouańskich 5 rb., gęsi Emden-skich 12 rub. za tuzin. Gwarancja zupełna.

Katalog ilustrowany za zaliczeniem poczt. Cena 45 k.

Hodowla ptactwa E. W. Baggowuta. Kegel, gub. Estlandzka.

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.

POŚPIECH i DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.

Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski i J. Marciniak

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

Przyjmujemy zamówienia z własnych i powierzonych materiałów. Wykonanie staranne i akuradne.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

A. RYDLEWSKI

Zegarmistrz

Wilno, róg Wileńskiej i Gubernatorskiej.

Otrzymał dużo nowości.



J. MACIEJEWSKI

Mińsk lit. Zacharzewska 70 (vis a vis hotelu Odesy).

ZAKŁAD RYMARSKO-SIODLARSKI

Siodła, wszelkie zaprzęgi, chomonta robocze, kufrы,
i wszelkie artykuły podrózne i galanteryjne.

SKŁAD BRONI

Józefa Bukowskiego

Wilno, ul. Świętojańska № 24.

Zawiadamia p.p. myśliwych, iż wobec rozpoczynającego się sezonu, zaopatrzył się w świeży transport broni myśliwskiej, jak również pistoletów automatycznych różnych najnowszych systemów.

A. NOSSOWICZ KRAWIEC

ulica Wielka № 14, vis à vis Skopówki.

POLECA NOWOŚCI SEZONOWE.

KUPUJCIE NA ŚWIĘTA

OSTATNIE NOWOŚCI

PERFUM, MYDŁA, WODY KOŁOŃSKIEJ i PUDRU

K. ERMANS i S-ka

„IDEALNA KONWALJA“

„COEUR DE JEANETTE“

„KWIAT LIPY“

„VIOLETTE MERVEILLE“

„CAMOMILLE“ (Biały rumianek)

„PETRONIUS“

„CYCLAMEN“

„IDEAL“.

Sprzedaż we wszystkich sklepach aptecznych i perfumerjach.

SKLEP SPÓŁKI OWOCARSKIEJ,

WILNO, Pozawańska 28.

POLECA naturalne przetwory owocowe własnego wyrobu: marmelady, pasty, konfitury, soki, powidła i sery owocowe.

Sprzedaż detaliczna i hurtowa. — CENY NIZKIE.

Jabłka krajowe, kompot, miód-lipiec, bakalje. — Obstalunki z prowineji wysyłają się niezwłocznie za zaliczeniem.